Nr 1 (1201). Warszawa, 20 Grudnia 1903 r. (2 Stycznia 1904 r.) Rok XXIV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

Zuchwalcy.

Po tegorocznych wyborach do sejmu cesarstwa niemieckiego grono posłów polskich pomnożyło się dwoma ludźmi nowymi: z Prus Zachodnich wszedł p. Kulerski, ze Śląska p. Korfanty — obaj nowi nietylko z nazwisk swoich, ale i z warstwy społecznej, która ich wydała, z zawodów, którym się oddają, z zasług, które położyli, i wreszcie z wyznawanych zasad. Na Śląsku, odkiedy obowiązuje w nim dzisiejsza konstytucya cesarstwa niemieckiego, po raz pierwszy przeszedł, na ramionach ludności polskiej sercem i budzącą się świadomością polską wyniesiony, poseł-Polak. W Prusiech Zachodnich po raz pierwszy również dostał się do przedstawiennictwa narodowego człowiek nie z tych warstw, które je dotychczas stale zaopatrywały: ani szlachcic obywatel ziemski, ani ksiądz, ani adwokat. Obaj *novi homines* są dziennikarzami, redaktorami i wydawcami czasopism dla ludu polskiego, obaj umieli je doprowadzić do bezprzykładnej u nas poczytności, obaj zatem są twórcami i stróżami ognisk skupiających narodowość wobec nacierającej na nią żądzy wynarodowienia.

Poseł śląski miał do zwalczenia najpierw wahającą się jeszcze, trzęsącą jak galareta świadomość swych wyborców, potem zapamiętałą zawiść sobkostwa w innym, głośnym od lat wielu publicyście i wydawcy śląskim, p. Napieralskim, wreszcie — niemieckiego, koppowskiego ducha w duchowieństwie, które ogólną bezduszność swoją pozłotą germanizmu okrasza, o ile już rdzennie niemieckiem nie jest. Poseł zachodnio-pruski miał przeciwko sobie szlachtę-ziemian, potem księży — z pośród których tygrysią zapalczywością odznaczył się ksiądz Kujot, człowiek przecież uczony, z użytecznych prac i wydawnictw historycznych znany, powołany zatem raczej do gołębiej łagodności; wreszcie — komitet wyborczy prowincyonalny, który kandydatury w żaden sposób zalecić nie chciał, a gdy przeszła, ostro przeciwko niej zaprotestował. Gdy po wyborach do sejmu pruskiego, który również jak i sejm rzeszy w przeszłym roku się odnawiał, ukonstytuować się miało nowe koło polskie, zbudziła się wątpliwość, jak też obaj ludzie nowi przyjęci do niego będą. Pewna stanowa zwartość przy zatargu p. Korfantego z księżmi śląskimi wykluczała przewidywanie przyjęcia go z otwartemi ramiony; co do Kulerskiego zaś ów protest komitetu pozwalał przewidywać nawet zatrzaśnięcie drzwi przed krnąbrnym nowicyuszem, przedstawicielem krnąbrniejszych jeszcze od niego wyborców.

Koło polskie wszakże, choć z niewielką skwapliwością, nawet z niechęcią, przyjęło obu nowych przedstawicieli ludu polskiego do swego grona. Oświadczenie prezesa Koła, księcia Radziwiłła, pokryło nawet ową nielegalność, jaką rabulistyka egoizmu szlachecko-księżego wykryć zdołała w kandydaturze, a zatem i w wyborze p. Kulerskiego. Sprawa obywatelstwa w Kole, sprawa tytułu prawnego obu nowych posłów wobec wszelkich wymagań wydawała się po takiem wciągnięciu na regestr ostatecznie rozstrzygnięta, a rozstrzygnięcie jej niewzruszonem. Tak byłoby na całym świecie, ale nie u nas. Dla nas najważniejszem jest nasze *ja*, nie ta życiodawcza treść rozumu i siły, któraby je wypełniała, ale czcza, prosta, naga forma sobkostwa, umiejącego wymawiać zawsze i wszędzie jeden tylko wyraz *ja*, upajającego się jedną tylko wspaniałością świata—sobą, dążącego do jednej tylko sytości — tej, jaką daje pycha. To ślepe, nierozumne, ubogie a na złoconych stolcach posiąść się żądne, sobkostwo nasze, tak widoczne w dziejach możnowładztwa naszego—w masie społecznej, politycznie żywej wywoływało zawsze ruch odśrodkowy, zgubny, zabójczy, przeklęty, a nieraz już się okazało, okazuje się i obecnie, że cała straszliwość losu dziejowego nie wystarczyła do urwania łba hydrze. Jak Celtowie u Cezara, tak my wciąż jeszcze, w podziemia zepchnięci, nie przestajemy bić się z sobą o siebie, szarpani z zewnątrz, szarpiemy się jeszcze sami i więcej energii zużywamy na waśni i spory egotyzmu i egoizmu, niż na myśli i czyny twórcze, dodatnie, z istoty swej społeczne.

Rażący przykład takiego odśrodkowego, rozsadzającego warcholstwa, takiej opętanej pychy dali panowie posłowie sejmowi: Czarliński, ksiądz Wolszlegier, ks. Thokarski i Stanisław Sikorski. Podpisana przez nich protestacya przeciwko p. Kulerskiemu i jego wyborcom, złożenie mandatów do komitetu prowincyonalnego Prus Zachodnich jest pomnikiem nieprawych uczuć i nierozumnych zasad politycznych. Przykro jest to pisać, gdy się ma przed sobą tak zasłużonego weterana, jak Leon Czarliński, ale wszystkie jego długoletnie zasługi nie zdołają przeważyć błędu, którego teraz, zapewne z niemocy wieku, się dopuścił. Trzem pozostałym panom powinnaby publicystyka dać naukę obywatelstwa, z której jeszcze mogą skorzystać; powinnaby im przypomnieć elementarne zasady wykształcenia politycznego, które mogą jeszcze w sobie uzupełnić. Ich protestacya jest czynem zuchwałym. Z chwi-

łą, gdy Koło przyjęło w siebie nowych posłów, nawet pozytywne prawo i pozytywny rozum, rządzące w Kole czy w komitecie, nakazywały tym panom jedno tylko — jak najdoskonalsze milczenie. A czemże jest to Koło, czem cały komitet prowincyonalny wyborczy zachodnio-pruski wobec samych wyborców, których wola w wyborze p. Kulerskiego wśród niebezpieczeństwa, że przejdzie Niemiec, wyraziła się w sposób jedynie możliwy, bezwzględny, uroczysty, nakazujący niechętnym, ale w uczciwości i rozsądku obywatelstwa wyćwiczonym znowu jedno tylko — jak najdoskonalsze milczenie? Gdyby nawet przyjąć podręczną mądrość tych panów, protestujących za szczere złoto, nie za ołów, to i wtedy jeszcze wrzekoma władza komitetu wyborczego ugiąć by się powinna przed wyższą nieskończenie nad nią władzą wyborców. Wszystkie grzechy pierworodne, śmiertelne i powszednie p. Kulerskiego zdjęła z niego wola tych, co go wybrali, i przed nią panowie protestujący ukorzyć się byli powinni. Ale nie! Wielkie sobkostwo przy małych promionkach myśli ciągnie samych wyborców nawet pod pręgierz. Niewysłowione ubóstwo umysłowe i niesłychane zuchwalstwo!

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Pada znów światło na samą treść wymienionych ostatniemi czasy pomiędzy Rosyą a Japonią not dyplomatycznych. Rosya oddziela Mandżurję od Korei i o drugą z nich tylko gotowa jest porozumieć się z rządem w Tokio; Japonia dąży do równoczesnego rozwiązania obu spraw w ścisłej ich łączności. Rosya zgadza się na uznanie Korei za leżącą w obrębie interesów japońskich, pod warunkiem utrzymania wszelkich umów, dotychczas z rządem koreańskim zawartych; Japonia domaga się protektoratu nad Koreą, a z pośród korzyści przez Rosyę zyskanych chciałaby unieważnić ustąpienie terytoryów leśnych nad pograniczną Yalu. Otrzymawszy odpowiedź daleko odbiegającą od propozycyi, rząd japoński w uprzejmej formie poprosił o ponowne wzięcie ich pod rozwagę, a uprzejmość tę zwiększyły jeszcze odwiedziny złożone przez ministra spraw zagr. Komurę posłowi rosyjskiemu bar. Rosenowi w okolicznościach i w chwili, gdy raczej minister mógł się spodziewać odwiedzin posła. Takie w tej chwili zarysowują się stosunki — bardzo poważne. Japonia się nie cofa, a bez cofnięcia się wogóle wojna zażegnać się nie da.

Chiny, powołane głównie do działania w sprawie Mandżuryi, która według umowy z roku 1901 już w d. 8 października r. b. opuszczoną być miała, dotychczas milczą, chowając się za Japonią. Można się domyśleć tajemnego z nią porozumienia. Rozstrój w rządzie chińskim wywołuje to niedołęstwo z tchórzostwem złączone. Z wybitnych polityków tylko czterech jest za Japonią, tem samem i za Chinami, a w ich liczbie znajduje się następca Li-Hung-Czanga, wice król Peczyli, Juan-szykai. Zupełna marność armii chińskiej uspakaja Rosyę co do Chin. Za to obawa zupełnego utracenia wpływów wspierających stanowisko handlowe w Chinach działać już zaczyna podniecająco na Anglików. Opinia przezwycięża już wstręt od wielkiej wojny, a rząd okazuje już pierwszy zamiar dopomożenia Japonii nawet po nad obowiązek traktatowy, przeciwko samej Rosyi. Zamiar ten może się wszakże jeszcze rozwiać i zostawić Japonię w zupełnem odosobnieniu. Jedynie pewną jest życzliwa neutralność, czy też neutralna życzliwość. Dowodzi jej już teraz Anglia pośrednictwem w zamawianiu okrętów przewozowych, w dostawach węgla walijskiego, nabyciem dwóch okrętów chilijskich, które już miały się dostać w ręce rosyjskie i t. d.

Jakkolwiek spór się zakończy, faktem jest przedwojenne już zbrojenie się Japonii. U południowego wybrzeża Korei zebranych jest kilkanaście większych i mniejszych zbrojnic morskich, japońskich; inne gorączkowo uwojenniają. U Kruppa zamówił rząd sto dział większych i odpowiedni zasób amunicyi. Oficerowie lepsi ściągani są na gwałt z obczyzny. Ma Japonia już i wodzów: Jamagatę z r. 1891—5 na lądzie, Itę (Ito) na morzu.

Stany Zjednoczone przysłały do Panamy posła Buchanana. Nową rzeczpospolitą uznały w dalszym ciągu Niemcy i według depesz, nawet Anglia. Kolumbijczycy posuwają się ku Przesmykowi, ale i Stany Zjednoczone poobsadzały pogranicze. Do wojny jednakże nie przyjdzie: Ameryka południowa niema ochoty bronić Kolumbii; telegraf nawet donosi, że parę rzeczypospolitych uznało już Panamę za państwo prawowite. Uznanie przez Anglię jest faktem ważnym.

W delegacyi przedlitawskiej Kramarz miał mowę zasadniczą przeciwko rządowi, a za federalizmem — objaw nader wybitny, manifest młodoczeski. Niemcy ustami Kliemana wyśpiewali rozkosze zjednoczenia z cesarstwem niemieckiem, najpierw cłowego, potem i politycznego. Węgrzy nie uchwalili w sejmie rekruta; rozporządzenie cesarskie nakazało trzylatków zatrzymać nadal pod chorągwiami. Obstrukcya w sejmie po dawnemu; wystarcza do niej i najdrobniejsza mniejszość.

We Francyi nacyonalista Mirman zażądał zupełnego zniesienia legii honorowej. Rzecz niepojęta: Izba 259 głosami przeciwko 225 uznała wniosek za nagły. „J. de Genève" sarkazmem niedowierzania przyjęła tę uchwałę — i słusznie: pąsowa wstążeczka stała się już nałogiem całego narodu. W żadnej monarchii nie rwą się tak do orderów poddani, jak w tej rzeczypospolitej wolni obywatele.

Cesarz Wilhelm na to pojechał do Hanoweru, aby obrazić Anglię. Powiedział, co nie jest prawdą, że gdyby nie Prusacy, Wellington pod Waterloo byłby zmiażdżonym: istotnie musiałby się cofnąć. Ruchy Prusaków przez pierwsze półtora dnia były takie, że się niemi wcale pysznić nie powinni. Tylko instynkt Blüchera ocalił zwycięstwo.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY GALICYJSKIE.

Kurenda ks. biskupa tarnowskiego. — Prasa wobec kurendy. — Uchwały rady naczelnej stronnictwa ludowego. — Bunt konserwatystów w krakowskiej radzie miejskiej. — Narodowi demokraci a jezuici. — *Kuryer Lwowski* o narodowych demokratach. —

Dostatnich czasach walka pomiędzy obozem konserwatywnym a ludowym do pewnego stopnia przycichła. Na wybory nie zanosi się, to też nie słychać ani o jakichś poważniejszych nadużyciach sfer panujących, popełnianych na ruchu ludowym, ani o skargach na prześladowania ze strony przedstawicieli tego

---

A. Świętochowski.

PUSTELNIK.

Wyrokiem losu człowiek został skazany na dożywotnie więzienie w niewiadomości i oddany pod straż tajemnic. Nigdy on tych strasznych dozorczyń nie widzi, ale ciągle ich obecność i okrucieństwo odczuwa. Czuje ich twardą rękę na ruchach swego ciała i ducha, na zwojach żądz, pełzających po ziemi i na skrzydłach myśli, wzlatującej ku niebu. Gdy z wielkim mozołem zapali wątłe światełko w swej ciemnicy, one mu je gaszą; gdy zacznie przypominać sobie przeszłość, one mu jej znaki w pamięci zetrą; gdy wytęży wzrok w przyszłość, one mu go do dnia dzisiejszego skrócą; gdy spojrzy w teraźniejszość, one mu jej twarz zasłonią. Rzucają przed nim na drodze błyszczące szkiełka, które on podnosi z uciechą, że znalazł klejnoty. Wiodą go na manowce błędnymi ogniami, wciągają w trzęsawiska śpiewem rusałek, przeprowadzają przez mosty z trzcin wiotkich, błąkają, dręczą i szydzą.

Ziemia wyciągnęła w morze Egejskie trzy długie palce Chalkidy, pogarbione górami i porosłe gęstym lasem. Na te dzikie przylądki tajemnice spędziły z różnych stron wielotysięczny tłum ludzi oderwanych od świata i kazały im tu żyć w gromadach lub odosobnieniu. Jedni skupili się w klasztorach i osadach, drudzy rozproszyli się w samotniach; jedni nie przecięli za sobą dróg, któremi tu uciekli, drudzy założyli sobie gniazda na niedostępnych skałach. Gdy wylegną ze swych schronisk na krawędzie stromego wybrzeża, podróżnym z przejeżdżających okrętów zdaje się, że widzą stada jakichś ogromnych, czarnych ptaków, które niby odpoczywające alki wpatrują się w morze.

— Co oni tam robią? — spytałem kapitana?

— Nic.

Parowiec skręcił ku brzegowi i zatrzymał się chwilkę przy wyskoku skały, na którym wisiał pusty kosz. Majtek wrzucił weń bochenek chleba, wiązkę jarzyn, kilka jaj, świecę — i pojechaliśmy dalej.

— Dla kogo to?

— Dla pustelnika — odrzekł.

Gdy statek odsunął się, niewidzialna ręka podciągnęła kosz w górę i wsunęła go w zarośla, z których wyglądał żółty, tarcicowy dach domku.

Może tam mieszka? — błysnęło mi w głowie. Męczył się życiem tak okropnie, zniknął tak nagle i bezśladnie, mówił o położeniu się żywcem w grobie tak uparcie... Podobno tu ścieka rozpacz ukrytemi żyłami ze wszystkich krajów. Gdybym go poszukał i znalazł? Lubił mnie, więc przebaczy natręctwo.

Podróżując bez przymusu i stałego celu, mogłem wysiąść w najbliższej przystani. Kolonie pustelnicze zaczynały się niedaleko. Poszedłem w góry. Wązki gościniec wił się między niemi kręto i spadzisto. Był pusty i poorany wyrwami, ale odciski kół i nóg rysowały się na nim płytko. Widocznie wody tylko zbiegały po nim często. Nareszcie ujrzałem na płaskowzgórzu budynek, otoczony ostrokołem z zamkniętą bramą. Zanim do niej się zbliżyłem, z pod przyległych drzew i krzaków zaczęły się szybko podnosić czarne, w długich szatach postacie, które zwarły się przy ogrodzeniu, jak wał. Pozdrowiwszy mnichów, spytałem:

— Czy niema w tem zgromadzeniu Marka Białoskóra, którego jestem przyjacielem?

— Tu niema nikogo, kto był przedtem gdzieindziej — odezwał się jeden ze starszych.

Zrozumiałem, że nie chcą dać mi objaśnień.

— Skądże się tu ludzie biorą, jeśli — jak słyszałem — niema między wami kobiet?

ostatniego. Spokojnie odbywały się wiece i zebrania ludowe, a jeśli ten spokój zakłócały jakie wypadki tragiczne, to miało się do czynienia więcej z walkami wewnętrznemi obozów ludowych (zajścia wywołane przez Stojałowskiego w Żywcu) lub też z objawami charakteru miejscowego (krawe wybory do kasy chorych w Stanisławowie) aniżeli z systemem, wcielonym w życie przez konserwatystów. Zdawało się, że klika konserwatywno-klerykalna na tyle już zmądrzała, że nie chce więcej puszczać w ruch tych środków walki, które wywoływały powszechne rozgoryczenie, nie przynosząc żadnej korzyści sferom panującym. Aliści na raz, jak grom z jasnego nieba, został wymierzony cios w przedstawicieli miejskiego i wiejskiego ruchu ludowego, cios, przypominający dobre, stare czasy z przed lat 8—10, kiedy to biskupi galicyjscy gromadnie występowali z piorunującemi kurendami przeciwko redakcyom gazet ludowych.

Grom padł w Tarnowie — w tem siedlisku osławionego biskupa Łobosa, najzaciętszego wroga samodzielności ludu i największego prześladowcy chłopów i robotników, organizujących się nie pod sztandarem klerykalizmu wojującego. Ks. Łobos, organizujący zastępy, zbrojne w kije w celu rozbijania zgromadzeń publicznych, zwoływanych przez opozycyę, już nie żyje, ale jego następca — ks. Wałęga postanowił pójść w ślady swego mistrza: wydał kurendę — tak długą, że księża muszą ją dzielić na dwie części i odczytywać przez dwie niedziele z rzędu.

Kurenda wypowiada walkę bezwzględną w imieniu całego duchowieństwa obu stronnictwom ludowym — miejskiemu i wiejskiemu, a przedewszystkiem ich organom *Naprzodowi*, *Prawu Ludu* i *Przyjacielowi Ludu*. Kurenda stwierdza na wstępie wielki upadek religijności wśród ludu wiejskiego, zwłaszcza wśród mężczyzn i — co za tem idzie — odwrócenie się ludu od duchowieństwa, od księży. „Skąd to złe wkradło się do wsi polskiej? — pyta ks. Wałęga. Wszak jeszcze nie tak dawno nazywaliście swoich pasterzy ojcami duchownymi i czyniliście to nietylko z przyzwyczajenia, ale z najgłębszego przekonania, a dzisiaj niejeden spogląda na nich, jakby na swych wrogów.“ „Czyżeśmy się zmienili, że w ciągu lat paru z ojców staliśmy się wrogami ludu?“ „Cóż zamąciło dobre stosunki pomiędzy nami a ludem?“ Oto, wmieszali się między kapłanów a lud wiejski niepowołani opiekunowie, niby przyjaciele, a w gruncie ludzie źli i przewrotni.“ Cele tych „niepowołanych opiekunów“ ks. Wałęga tłumaczy w następujący sposób: „Oto, pragnęli przedewszystkiem zjednać sobie wasze zaufanie i na waszych karkach, waszymi głosami wznieść się w górę. Jakoż udało się niektórym; zyskali rozgłos, wzięcie i weszli do parlamentu i sejmu.“ — Wspomniawszy w dalszym ciągu ni w pięć ni w dziewięć anarchistów, ks. biskup pisze: „Otóż, podobnie postępują i niektórzy z waszych niepowołanych opiekunów. Radziby pozbyć się Pana Boga i wyrwać wiarę z serc ludzkich, ale Pan Bóg jest niewidzialny, i złość ludzka go nie dosięgnie. — Pozornie tedy zostawiają Pana Boga, a całą swoją nienawiść zwracają przeciw Kościołowi św., który jest przedstawicielem Boga na ziemi. Ale Kościół składa się z ludzi, ma swoich rządców w osobie papieża i biskupów; do wiernych przemawia Kościół za pośrednictwem kapłanów i dlatego przeciwko nim zwraca się cała nienawiść. — Wrogowie wiary chcą trafić w Pana Boga, a mierzą w papieża, biskupów i księży: oto źródło i przyczyna tych wszystkich krytyk i napaści na duchowieństwo. Wszak my, kapłani, głosimy prawdy wiary, uczymy katechizmu, administrujemy sakramenty św., wystarczy tedy w oczach wiernego ludu zohydzić kapłanów, a ludzie stracą do nich zaufanie, przestaną wierzyć w ich nauki, głoszone czy to na ambonie, czy w konfesyonale, będą stronić od sakramentów św., gdyż wszędzie będą podejrzywać i posądzać o obłudę, nieszczerość lub interes materyalny, czy też polityczny itd. itd. w tym samym duchu.

Wobec tego wszystkiego ks. Wałęga zakazuje bezględnie wszystkim (prócz księży) czytania wyżej wzmiankowanych pism jednocześnie zaś wzywa „dobrze myślących“, aby „razem, zgodnie i śmiało stanęli w obronie Kościoła i duchowieństwa.“ Opierający się temu rozkazowi nie dostaną rozgrzeszenia i nie będą uznawani za synów kościoła.

Ks. Wałęga ma jeszcze tyle zdrowego rozsądku, iż sam wyraża obawę, że kurenda może przynieść więcej szkody aniżeli pożytku, wzbudzając rozgoryczenie i przyczyniając się do zerwania nawet tej słabej nici, jaka wiąże jeszcze z kościołem zwolenników *Przyjaciela Ludu*. Ale to go nie powstrzymało od jej ogłoszenia. Co ciekawsze, ma ona na celu raczej straszyć, niż karać, gdyż w instrukcyi dołączonej do niej dla księży, ks. Wałęga mówi, że klątwa ma być wygłoszona w „tonie serdecznym,“ nie ma pociągać za sobą właściwie odmowy rozgrzeszenia, tylko groźbą odmowy każe księżom wywierać wpływ na „zbłąkane owieczki“ przez kobiety wiejskie.

Niespodziewane ukazanie się kurendy ks. Wałęgi wywołało bardzo małe wrażenie. Pisma, nienależące do stronnictw ludowych, przedrukowały charakterystyczniejsze jej ustępy, pochwaliły półgębkiem (konserwatywne) albo przyrzekły powrócić do jej omówienia później (liberalne), ale widać było, że niewczesny wybryk ks. Wałęgi nikomu jakoś do gustu nie przypada. Tylko narodowo-demokratyczne *Słowo Polskie*, zajadle rzucające się na wszystkie stronnictwa ludowe, pośpieszyło zsolidaryzować się z ogólną tendencyą kurendy i bryzgnąć błotem na działaczy ludowych. Wydawcy *Naprzodu* i *Prawa Ludu* przyjęli kurendę kpinami, gdyż dla nich jest ona poprostu pożądaną reklamą i żadnem niebezpieczeństwem nie zagraża.

Co do ludowców, to z jej powodu w redakcyi *Przyjaciela Ludu* w Krakowie odbyło się posiedzenie rady naczelnej stronnictwa ludowego. W obradach wzięło udział oprócz posłów sejmowych i parlamentarnych, należących do stronnictwa, kilkudziesięciu włościan, wydelegowanych z powiatów, należących do dyecezyi tarnowskiej. Redaktor *Przyjaciela Ludu* p. Stapiński stwierdził fakt, że obecnie liczba prenumeratorów tego pisma dosięgła poważnej cyfry 5,000, co, zdaje się, jest główną przyczyną wydania kurendy. Wrażenia ona nie wywarła i pozostanie bez żadnych skutków. W ciągu dwóch tygodni po jej ukazaniu się tylko jeden prenumerator *Przyjaciela Ludu* oświadczył, że boi się gniewu biskupiego i wskutek tego nie będzie na przyszłość tego pisma prenumerował. Natomiast p. Stapiński otrzymał z samego powiatu Limanowskiego 24 nowych prenumeratorów - włościan, którzy w liście wyraźnie oświadczają, że wobec kurendy uważają za swój obowiązek zaprenumerować *Przyjaciela Ludu*.

W szerokiej dyskusyi, w której zabierali głos posłowie Bojko, Olszewski, Kubik i inni, wyrażono żal i oburzenie z tego powodu, że biskup tarnowski dał się

Uwaga ta obraziła starca. Rzekł surowo:

— Kto tu wchodzi, zostawia za sobą nietylko odzież, ale i pamięć tego, czem był.

Rzeczywiście, gdyby każde ciekawe oko mogło zajrzeć do tych schronisk, nie miałyby one żadnej wartości dla samotników. Skłoniwszy się, odszedłem. Zauważyłem wszakże, że za mną spieszy gąszczem przydrożnym młody, wysoki mnich. Czy mnie śledził? Odwróciłem się i stanąłem. On się wysunął.

— Źle panowie zrobiliście — rzekłem — nie dopuszczając mnie do mojego przyjaciela, jeśli jest między wami.

— W naszym klasztorze niema go — szepnął — ale może tam w domku...

I wskazał ręką odosobnioną górę. Z przyciszonej i lękliwej jego mowy wniosłem, że chciał mi włożyć do ręki nić bez wiedzy swych towarzyszów. Podziękowałem mu i ażeby nie stracić kierunku, poszedłem prosto przez las. Trzeba było zejść na wązką dolinę, a potem dostać się na odosobnioną górę. W połowie jej wysokości od strony morza spostrzegłem w kępie gęstych drzew chatkę — tę samą, którą widziałem z okrętu. Oparła się jedną stroną o kamienną ścianę, a trzema o krawędzie głębokiego jaru, który ją obiegł półkolem i z którego prowadziły do niej wązkie schody, wykute w skale. Wspiąłem się po nich z wielkim trudem. Przed drzwiami chaty, na ławie, stojącej tuż nad brzegiem wąwozu, siedział mężczyzna w cienkiej, bronzowej kapocie, z długimi włosami na głowie, wpatrzony w morze. Usłyszawszy szelest, obejrzał się.

Rzeczywiście, był to Marek Białoskór.

Zlodowaciałe jego oczy nie objawiały nawet zdziwienia i spoglądały na mnie zimno. Pomału wszakże, jakby pod ich szklistą i martwą powłoką zatlił się ogień, który ją zaczął topić, ożywiły się, ale jednocześnie napełniły bolesnym smutkiem.

— Czego pan chce? — zapytał spokojnie, ale niechętnie.

— Od lat kilku dręczy mnie zagadka pańskiego tajemniczego zniknięcia. Gdy dziś przejeżdżałem tędy na statku, opanowała mnie uparta myśl, żeś pan tu osiadł. Postanowiłem odszukać pana i prawie przypadkowo odnalazłem. Widzę jednak, że mojem natręctwem sprawiłem panu przykrość. Przepraszam.

Zwróciłem się do odejścia.

— Odpocznij pan — odrzekł z pośpiechem. — Nie chciałem obrazić... Ale już dawno nie widziałem ludzi i nie mogę ich widywać.

Usiadłem obok niego na ławce. On umilkł i patrzył na morze wzrokiem coraz bardziej zaburzonym.

— Nie mam nic ciekawego do powiedzenia — mówił jak gdyby z sobą. — Zwyczajne, ludzkie głupstwo.

Oczywiście, wziął mnie za jednego z owych ptaków, którzy rozgrzebują ciągle cudze życia, ażeby w nich znaleźć ziarnko lub robaka dla nakarmienia swej ciągle głodnej ciekawości.

— Nie chcę — rzekłem — wydobywać z pana więcej wyznań nad te, których mi pan sam udzielisz. A dla zadowolenia osobistego wystarczy mi ogólne zapewnienie, że pan tu jesteś szczęśliwym.

— O, tak! — zawołał skwapliwie.

— Było to niewątpliwie z mojej strony zbyt samolubnem, że dogadzając szczeremu uczuciu przyjaźni dla ciebie, panie Marku, chciałem cię odwiedzić, zapomniawszy, że możesz sobie tego nie życzyć.

Spojrzał na mnie łagodnie i jak gdyby z wdzięcznością.

— Jesteś pan dobry — przemówił po chwili cichym głosem — a dobrzy ludzie najlepiej rozumieją innych, bo są głębszymi filozofami, niż mędrcy.

Uśmiechnął się lekko i dodał:

— To proste: dobroć na świecie jest, a mądrości niema.

Zadumał się i znowu zaczął snuć głośno swoje myśli, nie odejmując oczu od morza.

— Przyszedł czas takiego przeczulenia dusz, że boli je najdelikatniejsze dotknięcie życia... Straszne cierpienie a nieule-

użyć za narzędzie kliki rządowej. Okazało się, że bardzo wielu przedstawicieli duchowieństwa w dyecezyi tarnowskiej potępia kurendę i sądzi, że może ona przynieść kościołowi nieobliczone szkody. W końcu Rada naczelna stronnictwa ludowego uchwaliła wystąpić przeciw odezwie ks. biskupa Wałęgi w sposób stanowczy, choć „lojalny.“ Więc przedewszystkiem ze względu na to, że sama jej treść jest najlepszym środkiem agitacyjnym dla stronnictwa ludowego, uchwalono wydrukować ją wraz z komentarzami i kolportować między ludem. Następnie uchwalono zwołanie wiecu ludowego, na którym ma się zaprotestować przeciwko tego rodzaju nadużyciom władzy duchownej. W końcu postanowiono wydać odezwę Wydziału Rady narodowej stronnictwa ludowego z rzeczową odpowiedzią na wszystkie zawarte w kurendzie zarzuty.

W dość zabawnem położeniu znaleźli się stojałowczycy. Obecnie pełnią oni obowiązki wiernych sług kliki panującej, ponieważ ks. Stojałowski z nią się ostatecznie pogodził. W Kole polskiem należą do grupy t. zw. centrum, składającego się z nich i z kilku księży, a więc najbardziej klerykalnej. Tymczasem ks. Wałęga, jakkolwiek traktuje pisma ks. Stojałowskiego dość delikatnie, z wielką powściągliwością, to jednak uważa, że zakaz ich czytania (wydawany niejednokrotnie przez różnych biskupów) nie jest zniesiony. Tak więc i stojałowczycy, jako czytelnicy pism zakazanych, są wyklęci, pomimo całego swego obecnego klerykalizmu i całej lojalności względem klerykałów w Kole polskiem.

Należy się spodziewać, że kurenda ks. Wałęgi będzie ostatniem wystąpieniem tego rodzaju. Lud tak już dziś zmądrzał, że się go na plewy średniowieczne nie złapie. I w Galicyi rysują się mury dawnych twierdz ciemnoty, fanatyzmu, ślepej uległości dla autorytetu sutanny.

Dawne systemy działania politycznego za pomocą korupcyi poczynają brzydnąć nawet konserwatystom, jak pokazuje bardzo charakterystyczne zajście w krakowskiej radzie miejskiej.

Przed trzema laty, podczas ostatnich wyborów do sejmu i parlamentu wytworzyła się w Krakowie koalicya konserwatystów z konserwatywną (t. zw. kahalną) frakcyą żydowską. Ta koalicya przybrała charakter spółki, mającej na celu rozdział zdobytych mandatów. Sojusz z kahalnikami gwarantował konserwatystom głosy ciemnej masy żydowskiej, za co prezes kahału, p. Horowitz, miał otrzymać nagrodę w postaci mandatu do sejmu. W r. 1901 zmobilizowano cały obóz konserwatywno-klerykalny, cała kapituła poszła głosować za przewodniczącym kahału, ale nic mu to nie pomogło i wszystkie żywioły postępowe tak chrześciańskie, jak żydowskie sprzeniewierzyły się i obaliły kandydaturę Horowitza, wybierając kandydata demokratycznego — p. Rottera. Wobec takiej porażki spółka konserwatywna postanowiła wynagrodzić p. Horowitza w inny sposób. Mianowicie zamierzono stworzyć dla niego specyalną posadę trzeciego dyrektora Kasy oszczędności. Ta posada byłaby właściwie synekurą, ale dawałaby p. Horowitzowi możność teroryzowania Żydów. Aby ułatwić większości konserwatywnej rozporządzalność tą posadą, przywódcy wyżej wzmiankowanej koalicyi przeparli nowelę statutową, oddającą wybór trzeciego dyrektora Kasy oszczędności w ręce wielkiego jej wydziału, znajdującego się we władzy konserwatystów.

Wszystko szło, zdawałoby się, jak po maśle, gdy niespodziewanie na posiedzeniu rady miejskiej, mającem rozstrzygnąć kwestyę trzeciego dyrektora Kasy oszczędności, wstaje prof. Ulanowski — jeden z najpoważniejszych konserwatystów krakowskich — i zakłada uroczysty protest przeciwko szafowaniu groszem Kasy na tworzenie całkiem zbytecznych posad, żądając od prezydenta miasta udaremnienia tej akcyi. Radca miejski, p. Daszyński, poparł piorunującą mową prof. Ulanowskiego, roztaczając obraz szachrajstw wyborczych i gospodarki spółki konserwatywno-kahalnej. P. Rotter wystąpił z wnioskiem odroczenia wyboru trzeciego dyrektora Kasy oszczędności aż do uchwalenia reformy statutu Kasy w całości. I o dziwo, wniosek p. Rottera został uchwalony większością głosów, przyczem za wnioskiem tym głosowało oprócz opozycyi — 12 konserwatystów, w tem kilku profesorów uniwersytetu. Po stronie kahalników pozostali tylko antisemici i reszta konserwatystów. P. Horowitz posady nie dostał i spółka konserwatywno-kahalna jest właściwie rozbita. Skutki tego buntu konserwatystów nie omieszkają się ujawnić przy najbliższych wyborach. Ciemna masa żydowska, prowadzona przez zawodowe hyeny wyborcze i właścicieli domów publicznych, nie będzie już ułatwiała wyboru praktycznych klerykałów.

Klerykali będą musieli szukać sobie innych sojuszników. Szkoda, że w Krakowie demokraci narodowi nie odgrywają żadnej roli politycznej, bo ci byliby dla nich najlepszymi sojusznikami. W chwili, kiedy cała prasa galicyjska, poczynając od skrajnie radykalnej lewicy, a kończąc na konserwatywnym *Czasie*, występuje (z odmiennych, coprawda, stanowisk) przeciwko niesłychanemu żonglerstwu etyczno-politycznemu, uprawianemu przez *Słowo Polskie* i stojącą za niem klikę, jezuici zdobyli się na pochwałę etyki demokratów narodowych. W ostatnim numerze organu jezuitów, *Przeglądu Wszechpolskiego*, niejak ks. Pacelski zamieścił artykuł p. t. „Doktryna etyczna z obozu wszechpolskiego,“ omawiający dwa dzieła: „Egoizm narodowy“ p. Balickiego i „Myśli nowoczesnego Polaka“ p. Dmowskiego. Uczonemu jezuicie bardzo się podoba etyka tych panów, co z przyjemnością stwierdza *Słowo Polskie*, uważając artykuł ks. Pacelskiego za „zjawisko w stosunkach naszych dość niezwykłe.“ Że się etyka jaskiniowców, propagowana przez pp. Balickich i Dmowskich, podobała jezuitom, w tem nic niema dziwnego, dziwniejszym jest chyba fakt, że *Słowo Polskie* z taką przyjemnością te pochwały przyjmuje.

Niestety, od pochwał organu jezuickiego do sojuszu formalnego klerykałów z demokratami narodowymi bardzo jeszcze daleko, gdyż tym ostatnim psuje interes tradycya dawnych, przebrzmiałych już poglądów, opinia faryzów, którymi niegdyś byli. Naprożno więc wzywają do „nowej koncentracyi“ ludzi uczciwych bez względu na kierunki polityczne. Na to wezwanie odpowiada zupełnie trafnie ludowy *Kuryer Lwowski*: „Cóż mogą mieć ludzie uczciwi wspólnego z tymi krzykaczami jarmarcznymi najlichszego gatunku, z kłamcami, z maniakami, odsądzającymi wszystkich od czci i wiary, a unoszącymi się nad swą własną zacnością i nad swym rozumem. A powtóre niełatwo już dzisiaj przyszłoby galicyjskim demokratom narodowym zwabić kogokolwiek w swe sidła na przynętę jakiejś koncentracyi, bo wszyscy już w kraju wiedzą, że z demokratami narodowymi tylko taka koncentracya byłaby możliwa, w której „skoncentrowani“ byliby wykonawcami ich zachcianek. Demokraci narodowi u nas dążą wytrwale do rozbicia

---

czalne... Rozcięto człowieka, otworzono, zbadano jego wnętrze, określono chorobę i pozostawiono na stole operacyjnym... Ostatkiem sił dźwiga on się i ucieka do samotności, ażeby ona go zszyła, jakkolwiek zszyła.. Tak ja zrobiłem...

Po krótkiem milczeniu ciągnął dalej:

— Dziwnem jest moje zagrzebanie się w tej pustelni? A jednak nie był naturalniejszym każdy mój oddech... Wierz mi pan, doszedłem do tego, że już nie mogłem znosić nawet łaty perkalowej na sukiennem ubraniu.

— Dlaczego? — zapytałem.

— Dlatego, że miłosierdzie jest samobójstwem, że...

Uciął myśl i starał się opanować wzruszenie. Po krótkiej przerwie zaczął wyrzucać słowa drżące:

— Czy pan kiedykolwiek otworzyłeś swoją litość dla jeczącej za jej drzwiami nędzy? Zauważyłeś ten tłok nieskończonego szeregu głodnych i obdartych, którzy ci wszystko zabiorą, co posiadasz i co jest twojem dobrem, którzy zjedzą nietylko twój chleb i okryją się twojem ubraniem, ale pozbawią cię spokoju, pogody umysłu, snu, zdrowia i smaku życia? Bo odchodząc, nie pożegnają cię obrabowanego okrzykiem wesela, lecz żalem, żeś im dał mniej, niż żądali. Nie sprawiało mi to żadnej ulgi, że byłem bogaty. Dla bezdenności równie małym jest ogrom, jak drobiazg. A nędza ludzka nie ma dna. Ciśnij w jej otchłań góry ofiar, ona ciągle otwierać będzie swą żarłoczną paszczę. Z początku zdawało mi się, że ją choć trochę nasycę. Wrzucałem w nią coraz więcej, nareszcie wszystko, co mi pozostawiały najskromniejsze potrzeby — daremnie. Każdy biedak ciągnie za sobą tłumy innych biedaków, którzy mają równe z nim prawo do pomocy, a których odprawić musisz. Z obrazów i wspomnień wyłonił się powoli orszak mar, który ciągle chodził za mną, stawał przy moim stole i łóżku, który szeptał mi do uszu dręczące pytania: dlaczego jesz, kiedyśmy głodni? — dlaczego wdziewasz futro, kiedy my marzniemy? — dlaczego idziesz do teatru, kiedy my gnijemy w brudzie? Odpędzałem te cienie filozofią gniewu, obojętności, sobkostwa— nie ustępowały. Ażeby się od nich uwolnić, zacząłem rozdawać moje mienie bez ograniczenia i wyboru, a kiedy cisnąłem ostatnią resztkę — uciekłem tutaj, gdzie mnie już ludzka nędza nie doścignie.

Zmęczony spowiedzią, która wyczerpała wątłe jego siły, ucichł, chociaż widocznie głowa jego wrzała dalej.

— Dla utrzymania życia — rzekł spokojniej — potrzebna jest bodaj jedna ochraniająca komórka egoizmu. Schroniłem się tu, ażeby ją ocalić. Nic nie mam i nic nie robię, aby niczego nie mieć i nie męczyć się bezsilnością w walce z olbrzymim potworem nędzy, który najmężniejszych zapaśników rozgniata w swych potężnych palcach. Widziałeś pan napis na starych zegarach: „wszystkie godziny ranią, ostatnia zabija.“ Zabezpieczyłem się przeciw wszystkim — ulegnę tylko ostatniej, która jest najmiłosierniejszą. Jeżeli ten kosz, który spuszczam dla przejezdnych statków, wciągnę przez kilka dni pusty, położę się na ziemi — niech ona mnie wessie. Rozpuszczę się w niej bez obawy i żalu, a mam nadzieję, że nikt po panu nie przyjdzie i nie będzie wstrząsał mojej stygnącej duszy.

Rzeczywiście, po co ja przerwałem spokojne konanie temu człowiekowi, który nie mógł wytrzymać bólu ofiarnej niemocy i zagoił jej głębokie rany martwą samotnością? Powstałem i podałem mu rękę.

— Życzę panu prędkiej śmierci.

— Dziękuję — odrzekł i zapatrzył się w morze.

Gdy wracałem do przystani, jakiś smutek we mnie szeptał:

— Nasz czas ma dzieci bardzo chore i nieszczęśliwe.

wszelkiej roboty, której kierownictwa nie mogą opanować. Próbowali oni już przeróżnych koncentracyj i dali się dostatecznie poznać wszystkim, aby ich zdala wszędzie omijano. Koncentracya z demokratami narodowymi jest dopóty tylko pożądanym dla nich pozorem, dopóki pokątnymi zabiegami nie zdobędą sztucznej większości w koncentracyi. Potem następuje likwidacya spółki i objęcie całej koncentracyi na własną firmę."

Z bardzo sympatyczną inicyatywą wystąpiło lwowskie Towarzystwo dla popierania nauki polskiej. Chodzi o stworzenie bibliotek publicznych w ważniejszych miastach prowincyonalnych Galicyi. Dotychczas biblioteki publiczne istnieją tylko w dwóch głównych miastach kraju: w Krakowie i we Lwowie. Po za niemi niema ani jednej biblioteki publicznej nawet w takich miastach, jak Tarnów, Przemyśl, Tarnopol, Kołomyja i Rzeszów, liczących po 30—40 tys. mieszkańców. A więc cała inteligencya prowincyonalna — profesorowie szkół średnich, prawnicy, lekarze, inżynierowie, technicy itd. pozbawieni są najelementarniejszych ułatwień przy wszelkiej pracy naukowej. Kiedy dla mas ludowych powstają setki czytelń i wypożyczalni, to inteligencya prowincyonalna obywa się bez bibliotek publicznych, nic przeto dziwnego, że gnuśnieje, marnuje się i w końcu tonie w bagnie małostkowego życia prowincyi.

Otóż, obecnie Towarzystwo dla popierania nauki polskiej zwraca się do ogółu z odezwą, prosząc o ułatwienie mu zakładania bibliotek publicznych bodaj w większych centrach prowincyonalnych. W tej myśli zwraca się do instytucyj i towarzystw naukowych, do redakcyj czasopism i dzienników, do księgarzy, wydawców, nakładców i autorów, aby nadsyłali po 6—8 egzemplarzy wszelkich druków Towarzystwu. Wszystkie dary będą podawane corocznie w sprawozdaniu Towarzystwa. Adres przesyłek: Lwów, archiwum Bernardyńskie. Ma się rozumieć, że dary te będą tylko środkiem pomocniczym, gdyż założenie bibliotek prowincyonalnych wymaga znacznych kosztów, które w pierwszej linii będzie ponosiło samo Towarzystwo.

Daleki.

Szowinizm i kultura.

Wiedeń, w grudniu.

Ileż to razy słyszeliśmy o węzłach kulturalnych, które łączą naród niemiecki z włoskim! Że Germanie są dziedzicami Rzymian, wbrew pretensyom ludów romańskich, toż to był dogmat polityczno-ideowy, niemiecki, który wyrażał się i w „świętem cesarstwie rzymskiem narodu niemieckiego." Aby przejść do rzeczy mniej średniowiecznych — no, i bardziej kulturalnych — dość wspomnieć nazwiska: Winckelmanna, Niebuhra, Mommsena, te świetne drogowskazy, aby uprzytomnić sobie, ile rzeczywiście niemiecka kultura zawdzięcza Włochom i naodwrót. To też deklamuje się o tej wzajemności przy każdej sposobności; cesarz Wilhelm posyła wiernemu miastu pomnik Goethego; nadużywa się tej idei nawet do spojenia chwiejącego się nieco trójprzymierza, ba! nawet do rzeczy o tyle mniejszej, jak utrzymanie przewagi niemieckiej w Austryi. Włosi i Niemcy, mówią ci ostatni z grzeczną i mądrą miną, porozumieją się zawsze, bo to dwa narody kulturalne i obydwa zagrożone w swym „stanie posiadania" przez barbarzyńców słowiańskich.

Wszystko to bardzo ładnie — dopóki nie zjawia się najmniejsza kość, którejby brytan niemiecki, nie mogąc jej sam ugryźć, mógł jednak bronić z należytem poczuciem własnego honoru i godności przed łaknącym jej, choćby słusznie, Włochem.

Włosi nie mają w Austryi włoskiego uniwersytetu. Jest ich wprawdzie tylko coś milion, ale Włosi przyzwyczajeni są we Włoszech do posiadania jednego uniwersytetu na mniej więcej taką liczbę ludności. Wydają ze swego łona dobre kilkaset studentów, a więc, z tymi, co jadą studyować do Włoch, z pewnością nie mniej, niż uczęszcza do umyślnie założonego *niemieckiego* uniwersytetu na Bukowinie, w Czerniowcach. Jechać za granicę — rzecz ze względu na karyerę praktyczną niedogodna. Więc jadą do Gracu, Wiednia, a głównie Innsbrucku. Miasto to jest przecież stolicą Tyrolu, którego południowa część zaludniona jest przez Włochów.

Uniwersytet w Innsbrucku założył dla nich na wydziałach prawnym i filozoficznym kilka katedr równoległych z językiem włoskim. Przez pewien czas trwało to tak, nikt nie ponosił z tego powodu szkody, ani się nie oburzał. Pewnego poranku, gdy senat uniwersytecki postanowił otworzyć jeszcze jedną katedrę równoległą, włoską, spostrzegli naraz bursze niemieccy, że to grozi „utrakwizacyą" — dwujęzycznością niemieckiego dotychczas uniwersytetu, a ponieważ nie mieli na kim wyładować swego gorącego „wszechniemieckiego" patryotyzmu, więc go wyładowali na Włochach. Urządzili dwa lata temu demonstracyę przeciw włoskim profesorom i studentom. Ci odpowiedzieli: „Myślicie, że nam tu przyjemnie z wami? To się mylicie. Wyniesiemy się zaraz, jak tylko dacie nam włoski uniwersytet w Tryeście. A tymczasem — co mamy robić? Potrzebujemy włoskich katedr." Rzecz oparła się o parlament. Rząd obiecał nawet założenie, jeśli nie uniwersytetu, to przynajmniej włoskiej akademii prawniczej. Ale Tryestu się boi, że to siedlisko irredentyzmu. O innem znów mieście — Trydencie lub Gorycyi — nie chcą słyszeć Włosi. Przytem — niema pieniędzy. Więc — obiecanka cacanka...

Włosi, raz zacząwszy, nie spoczywają w agitacyi. Najpierw opuścili Grac i Wiedeń i wszyscy zebrali się w Innsbrucku, aby pokazać, ilu to jest ogółem studentów włoskich. Następnie, gdy kilkunastu profesorów niemieckich urządziło podczas ostatnich wakacyj w Salcburgu kursa akademickie w celu demonstracyi za założeniem tam, a raczej wskrzeszeniem uniwersytetu niemieckiego, Włosi postanowili ich naśladować i urządzić w Innsbrucku wolny uniwersytet włoski. Największe sławy nauki włoskiej — Carducci, Gubernatis, Lombroso, Mosso, Mantegazza, że na wymienieniu tych poprzestaniemy — natychmiast obiecały swój udział. Z końcem zeszłego miesiąca Gubernatis, profesor w Rzymie, znakomity historyk literatury, zjechał do Innsbrucku i przed studentami-rodakami, zebranymi w wynajętej sali, rozpoczął wykład naukowy. Nagle, po pierwszych paru zdaniach, wchodzi komisarz z policyantami, rozwiązuje zebranie i prosi — jakiś tam komisarz takiego Gubernatisa! — aby zechciał opuścić gościnne miasto i kraj. Rozwiązanie zebrania było w dodatku zupełnie bezprawne, bo było ono prywatne, za zaproszeniami, t. zw. „podług § 2." Ale wymogli je na namiestniku — patryotyczni Niemcy. Kupa burszów odprowadzała sławnego przedstawiciela „bratniej kultury" na dworzec, wrzeszcząc, klnąc, wyjąc. Był to tryumf narodowy przecie! Odparto zuchwały atak Włochów na Innsbruck, przedsięwzięty w celu — horrendum! — „italianizacyi odwiecznie niemieckiego grodu!" Był to tryumf narodowy — o, tak! Ani jedno pismo niemieckie w całej Austryi nie odważyło się na słówko choćby nagany dla burszów i rządu, na skromne zastrzeżenie nawet. A deputowany Lemisch, członek partyi niemieckiej, zwanej „ludową" — oczywiście *a non lucendo* — na zgromadzeniu publicznem dowcipnie oświadczył, że jeśli Włosi chcą mieć uniwersytet, to — niech jadą do Abisynii!..

Dotychczas nie znalazł się żaden porządny Niemiec — tak, Niemiec — któryby mu za tę bezczelną obelgę, przypominającą „bratniemu i sprzymierzonemu narodowi" najboleśniejsze upokorzenie — w twarz napluł...

I oto macie wspólność kultury, i oto macie wogóle wartość kultury, gdy szowinizm rządzi.

Jeden tylko podniósł się głos protestu: *Arbeiterzeitung*. Ale i w tem piśmie człowiek tak uczony i rozumny, jak inicyator kursów salcburskich, prof. L. Hartmann, zaznacza, że jednak Włosi popełnili nietakt urządzając swe kursa w niemieckim Innsbrucku. Ale gdzież mieli się udać? Czy tam, gdzie niema studentów włoskich? Przecież brak własnego uniwersytetu zmusza ich do gromadzenia się w Innsbrucku. A o „italianizacyi" niemieckiego miasta przecie na seryo mowy być nie może.

Zaprawdę, burżuazya przeszła już „od ludzkości — przez narodowość — do zwierzęcości."

A Austrya pod „nowożytnym" rządem giętkiego Körbera złożyła nowy dowód swej — kulturalności...

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Dla dorosłych dzieci.

Ciekawy jest widok przeróżnych sztuk, jakich pisma peryodyczne używają dla pozyskania sobie abonentów. Są to nadzwyczajne wysiłki konceptów i zabiegów, którym niepodobna odmówić pomysłowości. *Biblioteka samokształcenia* np. ogłasza nagrodę konkursową za najlepszy zbiór aforyzmów, wybranych z jej wydawnictw, które ubiegający się muszą sobie kupić, a łatwe zadanie zachęci wielu; *Wędrowiec* obiecuje rozlosować sto obrazów olejnych między swoich abonentów, którzy odgadną jego szaradę, nieprzechodzącą domyślności dziecka — więc również wielu go zaprenumeruje itd. Czy na te przynęty mamy patrzeć jedynie, jak na wędki kupieckie? Nie, są to zarazem sposoby szerzenia czytelnictwa w społeczeństwie dziecinnem. Pedagogika również ucieka się do podstępów, używając łamigłówek, loteryjek i innych zabawek dla kształcenia dzieci, które zwyczajnej nauce stawiają opór. Pisma, które ani jakąś ideą, ani talentami nie mogą zgromadzić pożądanej liczby prenumeratorów, łapią ich na figle i rzeczywiście rozszerzają coraz bardziej koło czytelnicze. Zachodzi więc tylko pytanie, czy sam fakt zwiększonego spożycia drukowanych arkuszów papieru jest dodatnim? Z całą świadomością małej wartości wielu wydawnictw peryodycznych odpowiadamy na to pytanie twierdząco. Jeżeli są śród naszego ogółu liczne gromady, które od poważnych organów prasy stronią i tylko do poślednich za pomocą sztuczek handlowych przyciągnąć się dadzą, to niewątpliwie lepiej, że pozbywają się swego analfabetyzmu kulturalnego, aniżeli gdyby w nim trwały. Jest to mniejsze złe, z którego może potem wyrośnie dobre — chęć czytania rzeczy godniejszych.

Zapomniany.

W Krakowie zmarł człowiek, który kiedyś odgrywał dość wybitną rolę, a który odsunięty przez długą chorobę od udziału w życiu publicznem, dawno utonął w zapomnieniu. Mieczysław Pawlikowski, jako współpracownik *Kraju* krakowskiego przed 30 laty, jako autor „Plotek i prawd,“ „Pamiętników pieśniarza.“ „Baczmahy,“ jako współredaktor *Nowej Reformy*, był frontowym i ozdobnym filarem w skromnej zresztą budowli liberalizmu galicyjskiego. Z natury łagodny, bardzo bogaty, przez wychowanie i stosunki ogromnie wypolerowany, miał on dla przedmiotów swej krytyki i satyry zgrabny docinek, wytworny sarkazm, umiarkowany gniew i lekko szyderczy uśmiech. Radykalizmu w treści i dosadności w formie unikał starannie, jak jego przyjaciel Asnyk, z którym szedł w jednym rzędzie. Partya też stańczykowska, na którą jego słowa padały igiełkami szronu, uczuwała więcej żalu, że mąż dobrej krwi mieszał się z obozem łyków, niż obawy, ażeby jej nie rozgromił. Na to był za dobrze wychowany, za miły, za elegancki i za blizki tych, którym się przeciwstawiał. Mógł on ująć mandolinę dla odśpiewania pieśni na cześć „przyzwoitej swobody“ i „zdrowego postępu,“ ale usłyszawszy bęben, wybijający rytm pochodowi wzburzonego tłumu, zatykał uszy i krył się za elegancki szańce twierdzy estetyzmu społecznego. Słowem, był to człowiek niepospolity, który w swoim czasie i miejscu wywierał wpływ, ale który obecnie nie znalazłby dla siebie żadnego zadania społecznego, gdyby nawet nie dźwigał brzemienia lat 70.

„Gwiazdka dla służby tramwajowej.“

Właściwie nie chodzi mi już o „gwiazdkę,“ lecz o stanowisko autora, który w nr. 52 *Prawdy* z r. z. sprawę tę porusza. Radzi on poumieszczać w tramwajach puszki z odpowiednim napisem i sądzi, że „szeroka“ publiczność „kopiejkowymi datkami“ złoży dowód swojego uznania „tym, z których usług przez cały rok nieustannie korzysta.“

Przedewszystkiem ta „szeroka“ publiczność ma co innego do roboty: ma swoje tingle, winty, ma resursy, teatry, koncerty, ma wreszcie wiele, wiele innych rzeczy, które zajmują ją nieporównanie więcej, niż los konduktorów tramwajowych. Rozpatrując tedy projekt ten ze strony praktycznej, nie można się łudzić, aby przyniósł on pożądany skutek. Dalej nie rozumiem, dlaczego autor zajął się tylko konduktorami i woźnicami tramwajowymi. Bądźmy konsekwentni. „Szeroka“ publiczność korzysta również przez rok cały z usług mnóstwa innych ludzi, którzy również pracują bardzo ciężko, a wynagradzani są licho. Rozwijając szerzej myśl autora, należałoby rozstawić na ulicach Warszawy kilka, a nawet kilkanaście tysięcy puszek, w które dobroczynna publiczność składałaby „datki kopiejkowe.“ Te puszki nosiłyby napisy: „Na kolędę dla kelnerów, dziennikarzy, szwaczek, buchalterek, poetów, posłańców, publicystów, dorożkarzy, fejletonistów“ itd. itd.

Nie, to nie jest droga, która prowadzi do polepszenia bytu wołów roboczych!.. Fakt, że w Szwajcaryi konduktorom tramwajowym rozdają jałmużnę, dowodzi tylko, że autorowi niefortunnego projektu brak krytycyzmu (nawiasem mówiąc, pozwalam sobie wątpić, aby zwyczaj taki istotnie w Szwajcaryi zaprowadzono), że nie rozumie on, iż to, co jest szkodliwe w Szwajcaryi, szkodliwe będzie i u nas. A każda jałmużna jest szkodliwa, bo tkwi w niej zło, które godności człowieczej uwłacza. Autor, zajmując się ciężkim losem konduktorów, pod mylnym adresem skierował swoje uwagi. Takie bomby filantropijne na szczęście chybiają celu. Tak jest, na szczęście, bo inaczej wszystkie „zarządy“ mogłyby swój obowiązek złożyć na barki „szerokiej“ publiczności. Tegoby tylko brakowało.

Artur Słowiński.

Gdyby stosunki społeczne były siecią oczek zrobionych dokładnie, według prawideł najlepszej teoryi, autor powyższego protestu miałby zupełną słuszność. Ale, niestety, są one siecią najrozmaitszych powiązań i kto chce w nich działać, musi się do nich stosować. Nawet najskrajniejszy radykalizm nie może być konsekwentnym w życiu praktycznem pod karą zupełnej w niem bezczynności. Dlaczego za przedmiot miłosierdzia wybrano konduktorów tramwajowych? Ależ takie samo pytanie można postawić przy wszelkich przedsięwzięciach filantropijnych, przy składkach na wpisy szkolne, na zapomogi dla powodzian itd. Czy i tego nie należy podejmować, patrząc cierpliwie, jak — według przysłowia— „rosa oczy wyjada, zanim słońce wejdzie“?

Niesłuszna skarga.

Prof. K. Estreicher za pośrednictwem jednego z dzienników przesłał żałosne westchnienie ku prasie warszawskiej, która jest tak obojętna dla Biblioteki Jagiellońskiej, że dostarcza jej bezpłatnie zaledwie kilku swych organów. Zaiste, najpiękniejsza, najbogatsza i najkapryśniejsza panna nie jest tak wymagająca, jak Krakusi. Każda redakcya warszawska ma obowiązek moralny pamiętać o nich co dzień lub co tydzień, ekspedyować im 52 lub 365 numerów pisma rocznie, ponosić koszta tej ofiary, a oni w zamian nie raczą zadać sobie nawet tyle trudu, ile potrzeba do napisania krótkiego listu i tyle kosztu, ile wynosi marka pocztowa, ażeby poprosić o tę grzeczność. Jednocześnie krakowska Akademia Umiejętności, która posiada tak wielki zapas swych nierozprzedanych wydawnictw, że niedługo będzie niemi paliła w piecu, nie raczy ich nadsyłać do redakcyj warszawskich, a nawet komunikować swoich sprawozdań. Formalnie Akademia i Biblioteka są instytucyami odrębnemi, ale faktycznie obie znajdują się pod władzą tych samych ludzi. Dlaczego więc oni, zamiast nam wyrzucać obojętność, nie uderzą się w piersi przed spowiedzią wielkanocną i nie powiedzą sobie:

— Nasza wina, bo postępujemy jak proste kołtuny galicyjskie: żądamy wielkiej uprzejmości, a nie umiemy okazać nawet małej. Ponieważ zaś wydawcy i redaktorzy *da drüben* nie leżą w obrębie naszych wpływów stańczykowskich i nie muszą się nam wysługiwać za nadzieję protekcyi przy uzyskiwaniu posad i tytułów, więc właściwie nie pozostaje nam nic innego, tylko traktować ich, jak ludzi od nas niezależnych, którzy mogą nam wyświadczać łaski, jeśli o nie grzecznie poprosimy. Niech prof. Estreicher stanie na tem stanowisku a przekona się, że Biblioteka Jagiellońska będzie miała więcej pism peryodycznych z Warszawy.

BADANIA NAUKOWE.

Kronika historyczna.

Albert Sorel „Sprawa wschodnia w XVIII wieku. — Pierwszy podział Polski i traktat Kainardżyjski.“ Przełożyli z upoważnienia autora słuchacze uniwersytetu lwowskiego. Z przedmową Szymona Askenazego. Lwów, u Altenberga; Warszawa, E. Wende i Sp. 1903. 16°, s. XXXI, 362.

Albert Sorel jest bezsprzecznie najwybitniejszym, współczesnym dziejopisem we Francyi. Wiedzą równi mu są zapewne: Lavisse, zasłużony badacz dziejów przedrewolucyjnych, rektor Sorbony, współwydawca olbrzymiego *Compendium* historyi powszechnej, obecnie zaś wydający pierwszą gruntowną, zbiorowemi siłami opracowaną „Historyę Francyi“ [1]); a także A. Aulard, świetny znawca opinii publicznej i rozwoju stronnictw w czasie Rewolucyi Francuskiej, od lat siedmnastu profesor w Sorbonie [2]). Obaj nie dorównywają jednak Sorelowi ani talentem opowieści dziejowej, ani kunsztem pisarskim.

Uczeń Taine'a, jest przecie Sorel od niego znamiennie różny. Gdy Taine spisywał „Źródła Francyi współczesnej,“ opierał się na materyale drukowanym, a także na niepełnych badaniach archiwalnych, przeważnie spraw prowincyi francuskiej tyczących. Jako umysł filozoficzny o kulturze łacińskiej, skłaniał się do uogólnienia i systematu; a także, raz swój systemat stworzywszy, nie wahał się poświęcić mu faktów, które przeoczał, lub też dobierał znalezione w ten sposób, by jak szufladki, ściśle i równomiernie wymierzone, w stworzoną ramę systematu bez przeszkody weszły.

Sorel — podobnie jak i Renan, zapoznał się dobrze z pracami historyków niemieckich, nad sąd ogólny a z góry powzięty przeniósł ścisłą analizę faktów, nad obraz ogólny, logiczny i prosty, przecie często powierzchowny, łatwo z pamięci starty, głęboko i silnie do duszy sięgające badanie charakterów, ludzi i dążeń. Przytem zaś zachował prostotę, jasność, rzec można popularność badacza francuskiego. Do pracy dziejopisarskiej zabrał się wtedy, gdy udostępnione zostały wielkie archiwa państwowe [3]), zdradzone tym sposobem tajne dotychczas arkana polityki światowej i umożliwione gruntowne poznanie puścizny rękopiśmiennej, pozostałej z doby rewolucyjnej. Właśnie też Francya przechodziła ciężkie przesilenie polityczne lat 1866—1871 i rzecz ciekawa, jak owoczesna waga zadań dyplomatycznych, jak siła stającej się wtenczas polityki mocarstwowej wpłynęła na kierowanie się historyków; jak chwila obecna i przeważające w niej prądy uczucia i myśli ludzkiej odbiły się na naukowej pracy dziejopisarskiej.

Sorel poświęcił się studyom dyplomatycznym. Ale umysł za rozległy, aby się zamknąć w kole intryg dyplomatycznych, człowiek zbyt gorąco uczuciowy, aby jednej warstwie i klasie pracę swą oddać, zadania swoje pojął on szeroko i po ludzku. Poświęcając się dziejom rewolucyi i Cesarstwa zapamiętał dobrze wybitne wskazanie Tocquevilla [4]), że nie dziełem przypadku, ani obłędu jednostek, ani szału ludu, lecz była rewolucya spełnieniem się dawno w przeszłości poczętych dążeń narodu, uwidocznieniem najświetniejszych, dziejowych jego wskazań, ujawnieniem się pierwotnej mocy i całego dotychczas nabytego bogactwa w charakterze narodowym. Kiedy Taine w rozwoju nowego społeczeństwa i nowej formy rządu, pod wpływem połowicznej a dezorganizującej roboty monarchii liberalnej, mieszczańskiej dostrzegał jedynie upadek dawnych a silnych i stałych dzieł i ideałów, rozpadnięcie się społeczne; — Sorel przeciwnie poznał, do

[1]) Lavisse et Rambaud: „Histoire générale du IV siecle à nos jours.“ Paris, Colin 1897—1901, tom. 12 Ernest Lavisse: „Histoire de France depuis les origines jusqu'a la Revolution“ Paris, Hacherte, od roku 1900.

[2]) Ob. A. Aulard: „Histoire politique de la Révolution Française. Origines et developpement de la Democratie et de la République.“ Paris, Colin, 1901.

[3]) Paryskie archiwa spraw zewnętrznych, otwarte zostały po raz pierwszy na rozkaz Napoleona III dla Henryka Sybla. Sorel, powoławszy się na ten fakt, uzyskał pierwszy z historyków francuskich przystęp do tych archiwów

[4]) Alexis de Tocqueville: „L'Ancien Régime et la Révolution.“ Paris 1887, chez Lévy. str. V, 27, 31 ид

jakiej dojść może siły ta nowa, szersza organizacya społeczna, odczuł głęboko intensywność ruchów masowych i pojął w zupełności nieodmienny fakt dziejowy demokratyzacyi nowożytnego świata. W owym ruchu demokratycznym, w coraz to większym udziale masy w rządzeniu powszechnością, w coraz to pełniejszem wyzwoleniu jednostek z pod ciężkiego jarzma dawnych, musowych umów społecznych, krępujących charaktery, widział Sorel dalsze dzieło wszechmożnej Nemesis dziejowej; nie żałował też, ani przeklinał przeszłości, ale ze spokojnem i głębokiem umiłowaniem oglądał i spisywał charaktery czasów nowych, rad gdy przez podobieństwa do dawno minionych mógł w nich stwierdzić ciągłość natury człowieka i trwałość jego obyczajów.

Równie następcą Tocquevilla jest Sorel i w tem, że jak tamten, pisał on swą księgę „bez przesądów, lecz nie bez gorącego uczucia. Byłoby bowiem — tak pisał Tocqueville — zaledwie Francuzowi dozwolonem nie czuć gorąco, gdy mówi o własnym kraju i rozpamiętywa swoje czasy.“ [1]) Taka reguła panuje stale w myśli Sorela, to też przedstawia on pełny typ dziejopisarza obywatela.

Przy tak żywem i głębokiem rozumieniu dziejów, nie dziw, że Sorel umiał tchnąć życie w swoje opisy „historyi dyplomatycznej“. Po pierwszych próbach, nacechowanych już gruntownością studyów, rozpoczął on wielkie swe dzieło, któremu całkowitą pracę wieku dojrzałego poświęcił: „Dzieje Europy a Rewolucya Francuska“ [2]). W miarę, jak postępuje, dzieło te staje się coraz pełniejsze, gruntowne i piękne. Skończył obecnie Sorel lat 60 i wydał piąty tom swojej pracy „Bonaparte a dyrektoryat;“ na ukończeniu są już zresztą i następne tomy, doprowadzające rzecz aż do Kongresu Wiedeńskiego i ustanowienia nowego porządku politycznego w Europie. Nie bez znaczenia będzie dla nas w szczególności, zwrócenie uwagi na tę długą rzeźwość w pracy, której przykład dają Francuzi: Renan w sześćdziesiątym roku życia opracowywa największe swoje dzieło, siedmiotomowe „Dzieje źródeł chrześciaństwa,“ następnie z pewnym pośpiechem, jak gdyby wyrywając się czekającej nań śmierci, wykończa jeszcze czterotomowe „Dzieje narodu Izraela“; Sorel w ostatnich swych pracach, w mistrzowskiej charakterystyce polityki Napoleona, w równie mistrzowskiem przedstawieniu wiekowego starcia Anglii i Francyi [3]), a więc znów w pracach późnego wieku, jest prawdziwie dojrzałym i, rzec można, dopiero teraz w pełni samym sobą. Wielka wiedza łączy się bowiem tutaj z pewnością i jasnością sądu, z pięknem wyrobieniem pisarskiem, z prostotą i zwięzłością, cechującą dojrzałość myśli i wyobrażeń.

To też jeszcze w pełni sił i zdrowia prowadzi swą pracę, kieruje wraz z p. Boutmy paryską szkołą nauk politycznych, wykładając w niej historyę nowożytną; zaś po śmierci Taine'a, zająwszy jego miejsce w akademii francuskiej, jest po dziś dzień jej ozdobą.

Książka, z powodu której kreślimy te uwagi, jest jedną z wcześniejszych prac Sorela, wyszła mianowicie po raz pierwszy w r. 1877. Czytamy w jej „słowie wstępnem“ i „...wydawało mi się niepozbawionem korzyści jasne twierdzenie, jakie były właściwie w przededniu rewolucyi francuskiej obyczaje polityczne trzech dworów, biorących tak doniosły udział w rzekomej wyprawie krzyżowej, przedsięwziętej przez Europę monarchiczną przeciw tej rewolucyi.“ W parę lat po wydaniu niniejszej książki rozpoczął Sorel swoją pracę o „Europie a Rewolucyi francuskiej“; widzimy celowość tych badań: „Sprawa Wschodnia“ jest poprostu dziełem przygotowawczem, rzeczowym wstępem do tamtych, rozleglejszych.

Ten wstęp obejmuje dzieje sprawy wschodniej tj. sprawy polskiej i sprawy tureckiej od pierwszych umów i przymierzy prusko-rosyjskich (1756—1764) aż do traktatu w Kainardżi (1774). Czy przed Rewolucyą i Napoleonem — tak pyta autor — istniał „złoty wiek“ dobrych obyczajów politycznych, i czy z tym dopiero francuskim i europejskim przewrotem nastał „wiek żelazny, w którym siła panuje ponad wszelkiem prawem“? Aby na to pytanie dać odpowiedź, bierze Sorel za przedmiot swego badania trzy państwa wschodniej Europy, tak określając ich polityczny stosunek: „by stać się mocarstwem europejskiem, musiała Rosya liczyć się z Prusami; by rozwiązać sprawę wschodnią, musiała liczyć się z Austryą.“ Stąd powstało zagadnienie wschodnio-europejskie. Stały prawie sojusz Prus i Rosyi, stała z niemi rywalizacya Austryi, która to otwarcie je zwalczała, to sprzymierzała się z niemi dla większego własnego pożytku — oto zasadniczy kształt tego zagadnienia. Sposób zaś wykonania, u wszystkich: „dzielić, aby panować, mącić, aby podbijać.“ „Podział Polski nie był wcale nowością w stosunkach państwowych XVIII stulecia,“ bowiem „było to logicznem następstwem systematu równowagi, ażeby w podziale państwa, niezdolnego do obrony i oporu, szukać sposobu pogodzenia ambicyi mocarstwowych...“ Prusy i Austrya otworzyły Rosyi drogę: ta, dotarłszy aż do Wisły i do morza Czarnego stanęła bezpośrednio obok potęg z nią rywalizujących i przez wspólne zabiegi wzmocnionych; tak „trójprzymierze, powstałe w 1772 r. staje się na całe stulecie węzłem polityki europejskiej.“ Jego żywotną treścią było i jest „przeciwieństwo pożądliwości,“ której objektem do r. 1815 była Polska, przez lat minionych sto jest ciągle Turcya; zaś gdy na zewnątrz nie znajdzie się już przedmiotu pożądania, trójprzymierze zwróci się samo przeciwko sobie i „w dniu, kiedy sprawa (turecka) wydawać się będzie rozwiązaną, Europa ujrzy się nieuchronnie w obliczu nowego zagadnienia: kwestyi austryackiej.“

Obraz, nakreślony tutaj na podstawie ścisłego badania faktów, posłuży niebawem do pierwszej ogólnej charakterystyki położenia politycznego w przededniu Rewolucyi francuskiej na tle interesów i tradycyi dziejowych [1]).

Studya owej epoki — drugiej połowy w. XVIII — to nieoceniony materyał dla badaczy, którzy, jak Sorel, żyją i pracują w epoce dalszego a płodnego rozwoju politycznej równowagi“ i łatwo mogą być oślepieni dostojeństwem i świetnością nowych spójni państwowych. Te właśnie badania może odcięły Sorela bezpowrotnie od kazuistyki państwowo-politycznej, która dzisiaj często z gabinetów ministeryalnych zbacza do katedr profesorskich. Nie uzależniał on bytu i prawa narodowości od stanu politycznego jej posiadania. Nie nastrajał swoich sympatyj dla grup, czy mas ludzkich wedle miary chwilowej siły tychże. Należy on do nielicznych przedstawicieli starej, europejskiej demokracyi, którzy nie przestawali być sprawiedliwymi, wyjrzawszy po za graniczne słupy swojego kraju.

Te cechy chrakteru wybitnego historyka uczyniły go szczególnie sympatycznym czy dla tych jego uczniów polskich, którym nieraz gorące, pełne szlachetnej energii, w obronie sprawiedliwości wyrzeczone słowa profesora głęboko zadrgały w sercu, czy też dla tych, którzy się poznali z jego dziełami naukowemi.

To też niniejsze pierwsze polskie wydanie książki p. Sorela należy powitać z podwójną radością: przedewszystkiem jako dowód pamięci i spłacenie długu moralnego względem serdecznie nam przyjaznego człowieka w sześćdziesiątą rocznicę jego urodzin. Następnie, dlatego że jeśli nie zapełnia, to przynajmniej wskazuje ono brak wybitny w naszej literaturze naukowej najbardziej zasadnicze, podstawowe dzieła wielkich, współczesnych szkół historycznych pozostają dotychczas bez polskiego przekładu. Z Francuzów jedynie Taine doczekał się wydania w języku polskim pierwszego tomu swoich „Źródeł Francyi współczesnej“; wybitniejszy jego przodownik na tejże niwie Tocqueville nie posiada dotąd polskiego wydania. Co się tyczy Niemców, zawsze najmarniejsze przeróbki Spamera wystarczają nam za Sybla, Rankego, Treitschkego.

Szczególnie dziwnem było zapomnienie o Sorelu, którego prace najżywiej obchodzić nas mogły, a były i są niezbędnemi dla każdego, kto się zajmuje naszą historyą z końca XVIII stulecia. Przypuszczamy też, że wydanie obecne „Sprawy Wschodniej“ jest tylko pierwszym krokiem do spełnienia większego zadania wiodącym: do wydania po polsku „Europy a Rewolucyi,“ które to dzieło, jak zaznacza prof. Askenazy w swojej przedmowie, już od lat jedenastu istnieje w przekładzie rosyjskim.

Tłumaczenie „Sprawy Wschodniej“ dokonane, o ile wiemy, pod bezpośrednim kierownictwem p. Askenazego, jest proste, jasne i ścisłe. Język wszędzie poprawny, a nierzadko dobrze oddaje naturalność i zwięzłość stylu Sorela. Uprzystępnienie tego dzieła, przeznaczonego tak dla badaczy specyalistów, jak też i dla najszerszerszej publiczności będzie nie najmniejszą w szeru zasług, jakie p. Askenazy swojemi pracami w dziedzinie historyi nowych czasów położył.

Michał Sokolnicki.

NEKROBIOZA.

Życie, jak każde zjawisko przyrody, dla swego istnienia wymaga pewnych warunków stałych. Z warunkami temi poznaliśmy się w artykule drukowanym w № 41 i 42 *Prawda*. Widzieliśmy tam, że do warunków tych należą: pokarm, woda, tlen, pewien stopień temperatury i ciśnienia atmosferycznego.

Brak wszystkich lub jednego z tych warunków pociąga za sobą zawieszenie czynności życiowych, a następnie śmierć.

Przedewszystkiem zastrzedz się tu musimy przeciwko poglądowi na śmierć i na prowadzące do niej zjawiska chorobliwe, patologiczne, jako na objawy nieprawidłowe, przeciwstawiane normalnemu przebiegowi życia; w pojmowaniu takiem tych zjawisk tkwi zasadniczy błąd, popełniany przez ludzi, niewnikających w istotę zjawisk przyrody.

Nic w naturze nie dzieje się nieprawidłowego, nienaturalnego; tylko jedne zjawiska obserwujemy i dostrzegamy częściej—i te ogół uważa za *normalne*, inne zaś rzadziej,

---

[1]) Tamże str. VIII—IX.

[2]) Z ważniejszych prac p. Sorela, których pełny spis zamieszcza prof. Askenazy w swojej przedmowie, wymieniamy: „Histoire diplomatique de la guerre franco allemande,“ 2 t. 1875 (wyczerpane); „Précis du droit des Gens“, 1876 (Sorel i Funck Brentano); „La question d'Orient au XVIII s.: le partage de la Pologne le traité de Kainardji,“ 1877; „L'Europe et la Revolution française,“ 51 (1885—1903); „Montesgieu“, 1887; „Bonaparte et Hoche en 1897“ 1896; dwie serye „Essais d'histoire et de critique“ i „Etudes d'histoire et de litterature.“

[3]) „La paix d'Amiens“ i szereg artykułów w *Revue des deux mondes*, 1902.

[1]) „L'Europe et la Revolution Française,“ t. II.

skutkiem tego przyzwyczailiśmy się nazywać je *nienormalnemi*.

Następnie wszystkie zjawiska przyrody powiązane są z sobą stopniowemi przejściami: nagłych skoków nigdzie niema. Jeżeli zaś, na pierwszy rzut oka, skoki takie i dostrzegano, to dlatego tylko, że nie umiano lub nie chciano widzieć tej ciągłości, tych mostów, za pomocą których nawet t. zw. krańcowe zjawiska przyrody są z sobą połączone.

Czyż śmierć nie była i nie jest uważaną jeszcze za zjawisko przeciwstawne życiu? czyż nie wskazywano przepaści, istniejącej pomiędzy życiem i śmiercią tak samo, jak pomiędzy ogniem a wodą, białem a czarnem?

A przecież wyszukiwanie takich przepaści niema nic wspólnego z dzisiejszym stanem przyrodoznawstwa.

Śmierć nie jest zjawiskiem przeciwstawnem życiu; różnice bowiem pomiędzy temi zjawiskami są natury nie jakościowej, lecz ilościowej.

Pomiędzy pełnią życia a śmiercią istnieje zawsze szereg faz przejściowych.

Organizm umierającego nie wpada w przepaść, lecz schodzi do niej po schodach. Ten najwyższy szczebel życia, który oznaczamy mianem kwitnącego zdrowia i ów najniższy, który zwiemy śmiercią, łatwo dają się odróżnić; jednak przeprowadzenie ścisłej, wyraźnej granicy pomiędzy życiem a śmiercią jest rzeczą niemożliwą. Stan ten niewyraźny, przejściowy K. Schulze i R. Virchow oznaczyli nazwą *nekrobiozy*.

To pojęcie obejmuje wszystkie te zjawiska życiowe, które rozpoczynają się od niedającego się naprawić zboczenia od normy życiowej i prędzej czy później nieodwołalnie prowadzą do śmierci. W tem samem znaczeniu używany nieraz bywa wyraz *degeneracya*; oznacza on jednak prócz tego i niektóre inne zjawiska biologiczne.

Rzecz prosta, że nekrobioza wkracza już w dziedzinę patologii, która między innemi rozpatruje drogę, wiodącą od życia do śmierci.

Od czasu jak biologia sprowadziła badania objawów życiowych na komórkę, tę najniższą ze znanych dziś jednostek organicznych, oczywiście, ta komórka stać się musiała i przedmiotem dociekań nad objawami nekrobiozy.

O ile jednak t. zw. *normalne* zjawiska życiowe zostały zbadane i wyjaśnione przedewszystkiem na komórkach samodzielnych, czyli pierwotniakach, o tyle nekrobioza zawdzięcza swój rozwój głównie patologii istot wielokomórkowych, tkankowców, a przedewszystkiem—człowieka. Stało się to z tej prostej przyczyny, że patologia od dawien dawna miała na widoku praktyczne zadania medycyny.

Obserwacye nad zjawiskami chorobliwemi, prowadzącemi do śmierci istoty jednokomórkowe, jak np. wymoczki, były robione zaledwie w latach ostatnich i to przygodnie, ubocznie, nie zaś systematycznie.

To też o zjawiskach śmierci *normalnej* u istot jednokomórkowych, drobnowidzowych nic prawie nie wiemy. Nauka zaś o nekrobiozie tkankowców, ujęta już w system dość racyonalny, stale robi duże postępy.

Śmierć tkankowców o wysokiem zróżnicowaniu narządów i tkanek następuje oczywiście skutkiem śmierci komórek; z równą jednak słusznością powiedzieć można, że i śmierć uspołecznionych, poszczególnych komórek zróżnicowanych jest wynikiem śmierci całego organizmu. To jednak ostatnie zdanie wymaga następującego omówienia. Organizm zabity nagle, żyje jeszcze przez czas pewien w składnikach swoich—w tkankach i komórkach. Pies np. z uciętą głową lub z przebitem sercem—nie wykazuje zewnętrznie żadnych objawów życiowych; uważany więc bywa za trupa, chociaż komórki jego, np. mięśnie przez kilka, a nawet kilkanaście godzin pozostawać jeszcze mogą przy życiu (wykonywać skurcze). I odwrotnie: różne komórki niektórych tkanek mogą już być w stanie zupełnej martwoty, a organizm pozostaje jeszcze przy życiu.

Życie organizmu wielokomórkowego jest wynikiem objawów życiowych zróżnicowanych komórek. Te komórki, spełniające poszczególne czynności fizylogiczne, ustosunkowane, zrzeszone są z sobą na podstawie daleko sięgającego, socyologicznego podziału pracy.

Śmierć więc organizmu całego nastąpić musi z nieodwołalną koniecznością wtedy, kiedy równowaga tego podziału została przez jakiebądź wpływy zachwianą. Rzecz prosta, że jak w innej dziedzinie, opartej na tych samych podstawach socyologicznego podziału pracy—w ustrojach społecznych—czasowe zaburzenia w tej równowadze, t. zw. rewolucye, niezawsze sprowadzają zagładę społeczeństwa, tak i w organizmie, nie wszystkie choroby są śmiertelne; zachwiana chwilowo równowaga powrócić może do pierwotnego, normalnego stanu.

By dać obraz tych zmian, jakie zachodzą w komórkach zrzeszonych podczas t. zw. nekrozy,—będącej wyrazem zachwianej równowagi fizyologicznej ustroju—zapoznać się musimy chociaż pobieżnie z wypadkami dwóch zjawisk, wkraczających w dziedzinę patologii ogólnej: z t. zw. *histolizą* i z *metamorfozą*.

Najprostsze zjawiska natury histolitycznej stanowią wypadki t. zw. *atrofii*. Po większej części polegają one na tem, że żyjące składniki komórki stale (chronicznie) zmniejszają się ilościowo — komórki skutkiem tego drobnieją i kiedy wreszcie proces ten dojdzie do punktu kulminacyjnego, tkanka ulega rozpadowi—martwieje. Mówimy wtedy, że komórka lub tkanka uległa atrofii.

Atrofia jest zjawiskiem bardzo pospolitem w państwie organizmów i odgrywa ważną rolę, nawet w „normalnym" przebiegu życia, nietylko w wypadkach patologicznych.

Zachodzi ona zawsze mianowicie tam, gdzie rozwijające się organizmy podlegają różnym znacznym przeobrażeniom, jak np. u owadów.

W ostatnich czasach— przed laty kilkunastu—zjawisko to zostało bardzo szczegółowo zbadane przez Loossa („Ueber Degenerations Erscheinungen im Thierreich, besonders über die Reduction des Froschlarven Schwanzes und die im Verlaufe derselben auftretenden histolytischen Processe").

Sprawdzić słuszność dokonanych przez tego uczonego obserwacyi z łatwością dziś możemy na każdej, przeistaczającej się w żabę kijance.

Rozluźnianie się, rozpad i zupełny zanik mięśni, tkanki łącznej, skóry i chrząstek w ogonie tego zwierzęcia daje nam dokładny obraz tych samych procesów, zachodzących w organizmie, objętym nekrobiozą patologiczną.

I tu, jak tam, bardzo czynny udział w sprawie zniszczenia żywej tkanki biorą białe ciałka krwi—fagocyty. Jak rabusie wciskają się te ruchome komórki pomiędzy włókna mięśniowe, pożerając je gwałtownie i przyczyniając się w ten sposób do usuwania produktów rozkładu; nie szczędzą one przytem i komórek jeszcze żywych. Ciekawy, lecz przytem przejmujący zgrozą objaw kannibalizmu! Komórki tego samego organizmu zjadają trupy swych siostrzyc i raczą się nawet ich żywem ciałem.

To zjawisko normalnej atrofii, „normalnego zniszczenia", podyktowane tu zostało —że tak powiem „wyższą racyą stanu"—prowadzi ono do dobrobytu, do przystosowania się do nowych warunków, a w wypadkach patologicznych—do uleczenia zagrożonego organizmu.

Związane z atrofią zjawisko fagocytozy (=zjadanie komórek) rzuciło nieznane dotychczas światło na przebieg normalnej i patologicznej atrofii. Przysłużyły się niezmiernie tej sprawie badania Miecznikowa (1883 r.), Kowalewskiego (1887) i Korotniewa (1892).

Za objaw atrofii normalnej uważać musimy i t. zw. uwiąd starczy, polegający na wolnym i stałym zaniku różnych tkanek, zachodzącym zwykle w podeszłym wieku.

Bardzo ważnym czynnikiem, wywołującym atrofię, jest bezczynność podlegającego jej organu, tkanki lub oddzielnej komórki.

Komórki bezczynne, fizyologicznie niepracujące stają się słabszemi — przemiana materyi i energii odbywa się w nich w zmniejszonem tempie, skutkiem czego w walce konkurencyjnej o byt z innemi, sąsiedniemi, współzrzeszonemi komórkami, ulegają i stają się w końcu pastwą fagocytozy. [D. n.]

Kazimierz Kulwieć.

LITERATURA I SZTUKA.

Chmury i tęcze.

Marya Grossek: *Poezye*. Warszawa, Stefan Demby, 1904, str. 224.

Na ogłoszonym przed kilku laty konkursie poetyckim *Prawdy* dwa pierwsze odznaczenia zdobyły poematy „Apoteoza" i „Hafciarka," które wyszły z pod pióra nieznanej przedtem poetki, p. Maryi Grossek. Sprawozdanie konkursowe podnosiło w obu oryginalność i głębokość wątku, robiło jednak zastrzeżenia co do formy: „Gdyby do treści obu tych utworów dostroiła się odpowiednio forma, powitalibyśmy w nich cenne klejnoty naszej poezyi. Niestety, przybyły one na konkurs w postaci niewykończonej, niemal brulionowej"...

Autorka „Apoteozy" i „Hafciarki" dała nam obecnie w pięknem wydaniu książkowem cały snop swego poetyckiego użątku. Rzuciła pełną dłonią złote kłosy i barwne kwiaty natchnienia; obok paru poematów dłuższych zebrała w tym pierwszym tomie pism swoich sporą garść drobiazgów lirycznych, dała, słowem, całkowitą, pełną prostoty i szczerości niezwykłej, spowiedź subtelnego i wrażliwego serca kobiecego, mającą w sobie coś z przejmującej melancholii poranków jesiennych, w połączeniu z tęsknotą głęboką do ideałów nieosiągniętych, z żalem po snach niewyśnionych. Poetka nie łudziła się przytem co do przyjęcia, jakie tej szczerej spowiedzi duszy zgotuje obojętny świat: „Wyśmieją ciemni od rodu ślepce prostotę barw... Wrzasną kumoszki, że na ich czepce nie ma tu szarf!... I wszystko przejdzie przez sąd i próby pospólstwa dusz: miłość, zachwyty, szał, wiara, śluby, grobowy kurz!"... A jednak nie zawahała się odsłonić najskrytszych uczuć swych i marzeń, najgłębszych tajników serca, nie cofnęła się przed zamiarem otworzenia „przy głównym rynku—własnej marzeń fabryki z nieznanych tęcz", może w napół uświadomionem przeczuciu, że, istotnie, pośród „kramarzów z przeciwka", którzy do jej okienka zapukają, znajdzie jedną, może kilka dusz blizkich, pokrewnych, które ją, „tkacza

marzeń, kupca miłosnych bajek, malarza pod-nieb", zdołają zrozumieć i odczuć.

Gdybyśmy do wzlotów i natchnień, tęcz i chmur p. Maryi Grossek przyłożyć chcieli miarę, stosowaną zwykle przy ocenie wytworów najnowszej poezyi naszej, to przedewszystkiem podkreślićby znów należało, że pod względem formy, pod względem czysto zewnętrznym, nie stoją one częstokroć na obecnej wysokości artyzmu. Zaznaczona przez sprawozdanie konkursowe niewykończoność i brulionowość, może przytem pewien brak poczucia miary, a stąd rozwlekłość, to znów pomieszanie rzeczy pięknych ze słabszemi, razi wprost dzisiaj i w wielu jej utworach pomniejszych. To też nie wahałbym się powiedzieć, że pod względem artystycznym zbiór ten zyskałby niewątpliwie, gdyby przed wydaniem uległ — o jakąś część trzecią — skróceniu, a niezależnie od tego staranne-mu przejrzeniu i opracowaniu. Wiele utworów (taki np. poemat „In excelsis") wywiera wrażenie surowych niemal, a jednak ciekawych bardzo brył kruszcu, którym dopiero ręka artysty nadać by powinna kształty piękne. Autorka stoi widocznie w pewnem oddaleniu od najnowszych prądów poezyi naszej, nie odczuwa potrzeby nadawania swym uczuciom i wrażeniom tej wytwornej szaty zewnętrznej, która obecnie cechuje nawet talenty drugorzędne, niemogące równać się z nią pod względem oryginalności i głębi. Ale właśnie ta cecha twórczości nadaje wielu jej bezpretensyonalnym obrazkom i piosenkom (z pominięciem, naturalnie, rzeczy zupełnie słabych, jak: „We dwoje", „Błękitny motyl", „Smutno mi!", „Schody piękności") pożądany zawsze urok bezpośredniości i świeżości i zdobywa poetce miejsce niepośledniе, a przytem zupełnie odrębne wśród licznej rzeszy pieśniarzy dzisiejszych, a to tem snadniej, że i forma jej bywa przecież niekiedy nietylko oryginalną i własną, co już znaczy niemało, lecz zarazem bardzo wdzięczną i ładną. Obok „Dwóch kramarzy" na wstępie i „Hafciarki," będącej jednym z najoryginalniejszych i najbarwniejszych kwiatów, jakie w ciągu ostatnich lat kilku wyrosły na niwie poezyi naszej, zasługuje tu na wyróżnienie kilka rzeczy drobniejszych, a zwłaszcza króciutkie: „Powtórny bez" i „O świcie", złożone z takich oto strof czterech: „Ptaszki w oknie mem świergocą, ledwie zaczął szarzeć świt.. Słyszałyśmy, jakeś nocą płakał: „kwii - wit!"—A tam chmurki się już złocą po sam w górze niebios szczyt—trawy gną się pod przemocą dyamentowych kit... Róże przez sen się trzepocą: razi w oczy biały wid. Rozmarzone krótką nocą wstają łany żyt... A ty płaczesz?! O co?—o co? Wstyd, śpiewaku, dla cię wstyd! I nad głową twą sierocą wschodzi słońce... Cyt"!.. Drobiazg to niewątpliwie, ale—razem z melodyjną „Ułudą"—świadczy, że poetka ma w duszy swojej narzędzie śpiewne i zażyć go w pewnych razach potrafi.

Przechodząc do zawartości pierwszej książki p. Maryi Grossek pod względem treści, zaznaczymy przedewszystkiem, że nie jest ona zbyt różnolitą i uderza nietyle szerokością ogarnianych widnokręgów i uczuć, ile raczej oryginalnością spostrzeżeń, a zwłaszcza pogłębieniem odtwarzanych stanów duchowych. Nad zbiorem całym unosi się uczucie melancholii, której źródło wskazuje poetka w znanej czytelnikom *Prawdy* „Apoteozie". Poemat ten—to jedna wzruszająca elegia serca, które było tak blizkie zdobycia szczęścia i utraciło je niepowrotnie, na zawsze. Autorka nie poprzestaje jednak na potrąceniu wymownej u niej, choć ogranej już wogóle struny wspomnień. W utworze jej błądzą wprawdzie dwa cienie, którym życie stargało przedwcześnie złotą przędzę marzeń o szczęściu, odwiedzają razem miejsca, uświęcone i opromienione dalekimi blaskami uczucia, którego znaczenie i moc uświadomiono sobie zbyt późno. Poetka jednak nie poprzestaje na tem odświeżeniu wyblakłych już, a wiecznie żywych obrazów, lecz zdobywa się w akordach końcowych na pełne siły potępienie tej lekkomyślności czy bierności, z jaką poddała się kiedyś ślepym wyrokom losu i ze skarbca jedynej może prawdziwej miłości w życiu nie wydobyła dyamentów, które rzuciłyby promienie nowe na całe życie jej duszy, a może nawet znalazłyby odbicie głębsze w ogólnej harmonii wszechświata. Skarbów takich trwonić nie wolno. „I kto wie? -pyta poetka—kto wie, czyśmy nie spełnili zbrodni. To było jednak wielkie zjawisko natury! Ta miłość miała ogrom słonecznej pochodni, mogła była rozświetlić i ogrzać lazury.. A myśmy ją, jak świeczkę, zdmuchnęli—wyrodni!"... „Może ta miłość była wpisana do księgi, ułożonej wprzód jeszcze, zanim chaos stężał? Możeśmy rozerwali ciągłość przyczyn wstęgi, które los kuł przez wieki i w palcach je zwęzał? Możeśmy się oparli marzeniom Potęgi, która dzierży nad światem dłoń władczą i mściwą? Plan wiecznej Myśli przez nas upadł lub zmitrężał i już na wieki wszystko poszło krzywo! I ten występek nad nami zaciężał!?!"... Szereg wątpliwości, przypuszczeń i pytań ciągnie się dalej i nadaje temu poematowi wspomnień oryginalność, głębię i moc, niespotykane dotychczas w tego rodzaju utworach.

Do myśli, wypowiedzianych w „Apoteozie", do żalu po utraconym raju szczęścia, do tęsknoty za przemijającą tęczą młodości, poetka powraca jeszcze kilkakrotnie, co całej przędzy jej pieśni nadaje cechę pewnej egotyczności, zrozumiałej zresztą i odczuwanej powszechnie. Echa tych samych uczuć i myśli, rzadko jednak przechodzących w bunt gwałtowniejszy, słyszymy zarówno we wspomnianym już poemacie „In excelsis", jak i w panteistycznym „Romansie morza", w poważnym „Pogrzebie", jak w wielu zresztą utworach drobniejszych: „Mnie tylko, mnie, ach! życia szkoda, me serce nocą szlocha. Mam nie to, czegom chciała młoda, nie to—co dusza kocha".

W blizkiem pokrewieństwie z tą kategoryą utworów pozostaje inna, w której znalazło wyraz gorączkowe poszukiwanie duszy blizkiej, pokrewnej, bratniej, pewnego rodzaju powtórzenia własnej jaźni wewnętrznej, wraz z przeświadczeniem, że dusza taka właśnie gdzieś ukrywać się musi, wraz z obawą, że oto może, sami nie wiedząc o tem, przechodzimy obok niej obojętnie i, jak w „Apoteozie," tracimy ją z oczu na zawsze. Patrząc na tłum ludzki, poetka wierzy, że w tym tłoku jest głowa, któraby jej większym skarbem była, „niźli cesarska perła i dyamentów bryła", lecz nie posiada, niestety, władzy odkrycia drogocennej perły w morskim szumie, kohinooru w „głębi ziemi i tej głowy w tłumie" („Skarby"). Obszerniej, w ładnej formie, w sposób napół żartobliwy, ta sama myśl wypowiedziana została w „Nieskojarzonych powinowactwach", zakończonych znów myślą, że ludzie dbają zbyt mało o własne swoje szczęście: „Możeśmy się już nie spotkali i zapomnieli prędko o tem... Choć może ten na losów szali, ten jeden traf był szczęsciem złotem. Ale wśród życia prac, zapasu, kto do idylli się sposobi?! Na szczęście my nie mamy czasu, dla szczęścia nikt z nas nic nie robi!"

Łagodna melancholia, rozmarzenie, głęboka refleksyjność, subtelna tęsknota oto cztery struny, na których poetka wygrywa przeważną część swoich melodyj. Nie zdoławszy osiągnąć szczęścia osobistego, znajduje kojącą pociechę, w połączeniu zresztą z żalem gryzącym, w tej myśli, że jednak, mimo wszystko, jest szczęście na ziemi i że je inni zdobyć, czy znaleźć umieją. Jej „żal i pociecha"—to jakby promień, wysnuty z prześlicznej strofy Asnyka: „Nie mów, że wszystko, czegoś ty nie umiał odnaleźć w życiu marą jest zwodniczą, zdrój czystych uciech będzie innym szumiał i inne serca poił swą słodyczą". Lecz na prawdziwie męzką energię, na optymizm szlachetny, wypowiedziany z siłą niezwykłą, zdobywa się poetka w czterech pięknych strofach swojego „Życia", z których druga brzmi w ten oto sposób: „W walce jest rozkosz, są piękności w burzy, zachwyt jest w męce — w śmierci czar być musi. Choć żal starganej huraganem róży, choć walka męczy... pierś ranna się krztusi—ja się lubuję w walk i bitew scenie, wysiłek mocnej duszy mojej służy: kocham cierpienie". Nietylko cierpienie zresztą, ale wogóle życie, którego apoteozą jest właśnie cały ten utwór płomienny, stanowiący zarazem piękną przygrywkę do „Hafciarki", gdzie artyzm poetki osiągnął dotąd szczyt najwyższy i najwyższy stopień zrównoważenia. Poematu tego streszczać już nie próbujemy, nie chcąc zetrzeć zeń tego wdzięku prostoty i naiwności, który główny czar jego stanowi. Sądzę, że powinien on być dla autorki wskazówką, iż w oderwaniu się pewnem od uczuć osobistych, w odtwarzaniu ruchliwej i wielobarwnej fali świata zewnętrznego talent jej może i powinien znaleźć źródła nowe i rozszerzyć polot swych skrzydeł. Wszak i przedtem w takim np. „Psie" lub w „Palmie" zdobywała się poetka na pomysły piękne, choć niezwiązane bezpośrednio z dziejami sercowych zawodów i bólów.

Wł. Bukowiński.

Mieczysław Pawlikowski.

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

Z innej strony otrzymujemy następujące słowa:

Kto długo żyje, tego, zanim sam zamrze, powoli odumiera świat otaczający. Bo światem otaczającym starca nie są młode pokolenia, ale to, wśród którego sam wyrósł, z którem sam młodsze lata spędzał. Ludzie tego pokolenia, rówieśnicy — to świat jego. Jeżeli ich przeżywa, z każdym z nich znika kawał jego świata — w bezdenną otchłań się zapada.

Z takiem uczuciem spoglądam na świeży grób Mieczysława Pawlikowskiego.

Śmiało powiedzieć mogę: drugiego takiego człowieka, jak on, równego mu, w życiu nie spotkałem; w szerokim krajobrazie świata mojego była to postać najjaśniejsza, promieniejąca poezyą, filozofią, a przedewszystkiem *prawdą*.

Nie wiem, czy go tam historycy literatury między poetów zaliczają — wszak wierszy nie publikował. Ale jeśli dar obrazowania otaczającego świata na tle własnych uczuć stanowi poetę — Pawlikowski był nim w całem znaczeniu tego słowa.

Pomijam nieliczne, większe utwory jego, jak „Plotki i prawdy," które zawsze należeć będą do pereł naszej poezyi satyrycznej. Wspomnę tylko o fraszce, o obrazku powieściowym: „Zgon Napoleona." Jakież tam ciepło w obrazowaniu społeczeństwa, jaki żywy koloryt, jaka głęboka obserwacya psychologiczna, a przedewszystkiem jaka delikatna satyra!

Znałem wielu poetów, nawet jednego z wielkich, który pisał dużo poematów bardzo sławionych, wielkie „rapsody" rycerskie, wysoko cenione przez „miarodajnych" historyków literatury. Jeżeli tego poetę sobie wspomnę, a miałem raz sposobność częstego z nim obcowania, kiedy młodym jeszcze byłem, a on już starcem — prawda, miał on dar poetycki, ale ileż w nim było pozy, pozy — bez końca! Znałem i poetki — autorki licznych tomów wierszy

rymowanych. Gdy przeminie reklama współczesna, przekonany jestem, że późniejsze pokolenia w tem morzu pozy nie znajdą ani kropelki poezyi.

W Pawlikowskim nie było ani odrobiny pozy — ani w pismach, ani w życiu! Takich ludzi szukać dziś trzeba z latarnią Dyogenesa! Bo gdzie dzisiaj niema pozy? Pomijam już dziennikarstwo, tę uprzywilejowaną jej arenę, gdzie powyżej i poniżej kreski jak szara gęś się rozpiera, ale przypatrzmy się życiu politycznemu, parlamentarnemu i pozaparlamentarnemu. Ileż tam fałszu i kłamstwa, ile udawanego patryotyzmu i lojalności, ile teatralnego współczucia dla „cierpiącej ludzkości“ i tym podobnych komedyj! A już mówcy i mówczynie naszych zgromadzeń ludowych — niech mi wybaczą, tyle pozy nawet — w gazetach nie znajdzie. Na palcach jednej ręki wyliczyłbym ludzi bez pozy, których w życiu znałem; pierwszym z najwybitniejszych był Mieczysław Pawlikowski.

Nie pisał on dzieł filozoficznych, ale był wielkim filozofem. Ani cienia przesądów, ani cienia zabobonów nie było w tej duszy czystej, jak kryształ, w tym przenikliwym rozumie. Wszak ludźmi jesteśmy; każdy z nas z jakiegoś środowiska społecznego wypływa i chcąc niechcąc, bezwiednie jakieś społeczne przesądy wlecze z sobą przez życie. Pawlikowski pod tym względem był mi zawsze zagadką; był jakby człowiekiem, który z nieba zstąpił i nigdy po ziemi nie kroczył.

Ale po nad wszystkiem był on człowiekiem prawdy, wobec siebie i wobec świata. Prawdę wyznawał wszędzie i zawsze, wśród wszelkich okoliczności. Umiał gorzkie prawdy wypowiadać i najserdeczniejszym swoim. Sam z drogi prawdy nigdy ani na włos nie zboczył. A to znaczy wiele, jeżeli się zważy, że długie lata stał w wirze życia publicznego. Co za prawdę uznał, przy tem trwał mocno, bez względu czy się to tym lub owym podobać będzie, czy nie. To też podobno nie brakowało mu nigdy przeciwników zaciętych i nieprzyjaciół w pewnych kołach krakowskich, które nie mogły mu przebaczyć konsekwentnego wyznawania zasad demokratycznych. Takich ludzi coraz mniej na świecie. Nie dziw, bo coraz ich więcej zajmuje się *polityką*, a nie ma zajęcia niebezpieczniejszego dla prawdy, jak polityka. Pawlikowski był rzadkim przykładem człowieka, który nigdy zasadom, raz za słuszne i sprawiedliwe uznanym, nie sprzeniewierzył się. Przekonań politycznych nie zmieniał; wyrobionym w młodości, pozostał wierny całe życie. Jest to wielka sztuka, która tylko tym się udaje, których szczęśliwa gwiazda już w młodości naprowadza na drogę prawdy, a żadne pokusy ani ambicyi, ani zysków z niej nie spychają. Pawlikowski był w tem szczęśliwem położeniu, że prostym szlakiem prawdy mógł iść od młodości do późnego wieku. Takich ludzi jest bardzo mało: ale na szczęście bywają. Każdy z nich sterczy po nad masy, jak latarnia morska po nad falami; a rozbitków gotowych zwątpić w ludzkość widok ich krzepi nadzieją i napawa wiarą.

Taką po nad masy sterczącą latarnią morską był Mieczysław Pawlikowski. Cześć jego pamięci!

Ludwik Gumplowicz.

NOWE KSIĄŻKI.

— Stanisław Witkiewicz: **Dziwny człowiek** (Lwów, nakł. Tow. wydawniczego. 1903). W Krakowie żyje cichy, lecz niezmiernie pracowity i wielkich zasług społecznych człowiek, który całe życie swoje poświęcił gromadzeniu możliwie najdoskonalszych i najtrwalszych reprodukcyj największych dzieł sztuki wszystkich czasów i wszystkich narodów. Człowiekiem tym jest Józef Siedlecki, który przez długi szereg lat nie był wcale znany szerszemu ogółowi i dopiero w ostatnich czasach nabrał rozgłosu z przyczyny, że postanowił za życia jeszcze pokazać społeczeństwu nagromadzone przez siebie ogromne skarby sztuki, które po śmierci swej chce ofiarować narodowi. Praca Witkiewicza poświęcona jest opisowi samego człowieka, jako artysty, jego zbiorów i ich wartości dla nas; przy dzisiejszych, wydoskonalonych metodach reprodukcyjnych, zbiór Siedleckiego daje możność odbierania prawie takich samych wrażeń, jakich dostarcza oryginał, to znaczy pozwala kształcić się szerokim kołom ludzi niefachowych, a co więcej — krytykom sztuki i artystom. Witkiewicz uzasadnia szczegółowo to swoje twierdzenie, a przytem wypowiada cały szereg nadzwyczajnie oryginalnych i ciekawych zdań o sztuce w ogólności i występuje w obronie fotografii, jako sztuki pomocniczej w pracy artystycznej, nawet twórczej. Praca Witkiewicza jest nietylko oddaniem hołdu człowiekowi-obywatelowi wielkiej duszy i wielkiego umysłu, lecz obok tego maleńkim traktatem o sztuce współczesnej i dawniejszej, który każdy z rzeczywistym pożytkiem odczytać może.

— Jan Wilhelm Draper: **Dzieje stosunku wiary do rozumu**; przełożył Jan Karłowicz (wydanie trzecie, nakład Drukarni Narodowej w Krakowie). Szkoda, że nieznany nakładca zamiast drukowania po raz trzeci rzeczy mocno już przestarzałej, nie zdobył sobie przekładu innego jakiegoś nowszego dzieła w tym samym kierunku krytyczno-naukowym. Dzieła takie istnieją w literaturze światowej i dopraszają się spolszczenia.

— Dr. Antoni Danysz: **O wychowaniu** (wydawnictwo Macierzy Polskiej, nr. 78, Lwów, 1903). Wytrawny pedagog lwowski przedstawił nam nietyle ogólną teoryę sztuki wychowania, ile raczej szereg wskazówek praktycznych, zebranych w ciągu swego długiego już zawodu nauczycielskiego. Jakkolwiek nie brak w książce wywodów naukowych, to jednak zajmują one stosunkowo mało miejsca i są dosyć powierzchownie traktowane. Nie zdaje się, aby to było wadą tej pracy, ponieważ posiada ona dwie inne, polecające ją zalety, a mianowicie: że jest wynikiem nie teoretycznego rozmyślania, lecz wypływem praktyki pedagogicznej, więc zawiera mnóstwo bardzo cennych uwag, a po drugie, że pisana jest przez pedagoga-Polaka, który ani na chwilę nie zapomina o tem, mówi nieustannie o młodzieży polskiej i o wychowawcach polskich, podnosi wady i zalety zarówno jednych jak drugich i podaje sposoby wykorzenienia pierwszych a należytego rozwinięcia drugich. Ta cecha rodzimości jest ogromną zaletą książki.

SPRAWY EKONOMICZNE

Rolnicze spółki włościańskie.

Od paru lat mnożą się, a od paru miesięcy osobliwie licznie powstają spółki włościańskie. W *Prawdzie* dochodzą o nich wiadomości od czasu do czasu, warto przeto objąć je ogólnym rzutem i dać ich charakterystykę.

Dawniej, przed paru laty, o rolniczych spółkach włościańskich u nas zupełnie słychać nie było. Istniały one za granicą, ale wiadomo, że tam i warunki są inne i poziom kultury włościan jest wyższy. U nas dla powstania spółek włościańskich brakowało dostatecznych przepisów prawnych, ale przedewszystkiem sądzono, że rzecz sama byłaby przedwczesną. To też gdy w r. 1899 zawiązała się pierwsza w kraju spółka włościańska w pow. Miechowskim pod nazwą „Jutrzenka,“ nie brano się zrazu do naśladownictwa, czekając, co z niej wyniknie. Dopiero gdy „Jutrzenka“ mogła się pochwalić korzystnymi rezultatami działania, gdy włościanie otrzymali nagrody za ziarno siewne, gdy posypały się o nich wiadomości w pismach (*Warsz. Dniewnik* podał „Jutrzenkę“ jako wzór do naśladowania), zaczęły się spółki mnożyć, jakkolwiek powoli. Z początkiem 1902 r. powstały spółki w Bocheniu, Różycach, później w Służewie, Antopolu i w Rzeczycy. Po większej części sami włościanie; pod wpływem wiadomości, czerpanych z gazet ludowych, parli do ich zakładania. Na ogół początki rozwoju spółek włościańskich noszą cechy ruchu samorodnego. „Jutrzenka“ czerpie swe źródło w zwiedzeniu wystawy rolniczej w Kielcach przez grono włościan.

Pierwszym celem tych spółek było podniesienie stanu gospodarstwa włościańskiego — czynnik przeto ściśle kulturalno-ekonomiczny. Oczywiście, że bez pomocy wyżej wykształconych fachowców spółki obejść się nie mogły, a fachowców tych znaleźć mogły jedynie w gronie światlejszych obywateli ziemskich. Kierunek kulturalno-ekonomiczny ściśle odpowiadał usposobieniu, jakie wnosić mogli do pracy w spółkach włościańskich właściciele większych majątków. Ale w miarę jak mnożyć się poczęły spółki, dał się odczuć nowy prąd u włościan, prąd zrazu nieujawniający się, lecz silnie się następnie potęgujący: chęć zawodowego zrzeszenia się włościan w celach stanowo-handlowych. Włościanin czuje, że jest w ręku pośredników przedmiotem wyzysku i gorącem pragnieniem zarówno tego włościanina, który pojmuje postęp rolniczy, jak tego, który weń nie wierzy, jest wydobyć się z tego wyzysku. Spółki rolnicze, choćby zamykały się w zakresie kulturalno-ekonomicznym, oczywiście, w pewnym stopniu przyczyniają się do usunięcia szkodliwego pośrednictwa handlowców, dla postępu bowiem rolniczego sprowadzają one lepsze nasiona, lepsze narzędzia; ale pozostawiają cały zakres przedmiotów spożycia nietkniętym. Dla włościanina zaś przedmioty spożycia stanowią najpoważniejszą rubrykę rozchodów gospodarskich i właściwie nie są w umyśle jego od zakupów rolniczych odgraniczone. Wprowadzając to rozgraniczenie a priori, narzucamy włościanom pojęcie im obce nietylko z powodu mniejszego ich rozwoju umysłowego, ale również odrębnego ich stanowiska gospodarczego.

O ile w pracy kulturalnej, tj. dążącej do postępu rolniczego, spółki włościańskie spotkały się z poparciem inteligencyi zawodowej, zarówno właścicieli ziemskich, jak pism ludowych, w dążeniu do wyzwolenia się z ucisku pośredników stanęli włościanie w odosobnieniu i spotkali się nawet z uprzedzeniem i niechęcią ze strony inteligentnych swych przewodników. Ci bowiem z góry nie mieli zaufania, by spółka, gdy weźmie się do handlu mydłem i pieprzem, nie zeszła na tory sobie niewłaściwe, bali się, i słusznie, kramarstwa, nadużyć, jakieby z tego powodu mogły się wkraść do spółek, rozumieli złe skutki zbytniej przewagi działalności handlowej nad rolniczą, jaka się już była ujawniła w spółkach galicyjskich. Już w paru pierwszych naszych spółkach powyższe trudności się ujawniły. Stały się one sprawą najżywotniejszą jednak dopiero wtenczas, gdy spółki weszły w drugą fazę swego rozwoju.

Ta druga faza wywołana została wystawą miechowską. W ciągu trzech miesięcy po jej odbyciu namnożyło się więcej nowych spółek włościańskich w kraju, niż było wprzódy powstało w ciągu lat trzech

Dążenie do ich tworzenia stało się żywiołowem. Przytem ujawniło się, że spółki tworzyły się przeważnie w okolicach, gdzie były niegdyś wsi poduchowne lub rządowe, oddawna oczynszowane, zamożniejsze i kulturalnie wyżej stojące. Dało to spółkom grunt arystokratyczno-włościański; ta arystokracya jednak ma to do siebie, że w jej bliskości mało jest dworów, bo te dawne wsi rządowe lub poduchowne znajdują się w większych kompleksach. Stąd brak spółkom pomocy fachowców-rolników, stąd więc ich charakter bardzo ściśle włościański. Wpośród tego odłamu włościan duch pojmowania spójni interesów zawodowych jest znacznie silniejszy, niż pojmowanie potrzeby postępu. Dlatego też na tym właśnie gruncie najwyraźniej ujawniło się dążenie włościan nietyle do postępu techniczno-rolniczego, co do ochrony od wyzysku pośredników. Wobec tego ujawnione przez nas nieporozumienie w łonie spółek nabrało szczególniejszej wagi. Niektóre z nich nie mają za doradców zawodowych rolników, dla nich więc postęp kulturalny jest trudny do osiągnięcia; w tych warunkach działalność handlowa wysuwa się na plan pierwszy.

Jakkolwiek w zasadzie postęp produkcyi jest stokroć ważniejszy od uregulowania pośrednictwa, szczególnie w zakresie towarów spożywczych, jednak uregulowanie to zarówno co do konsumcyi rolniczej, jak spożywczej, jest zupełnie uprawnionym i naturalnym terenem działania spółek. Prawda, że gdy włościanin podniesie produkcyę z morgi o 10 rb., to na 20 morgach może mieć zysku o 200 rb., a na tańszym towarze, użytym dla konsumcyi, może mieć ogółem tylko 10 rb. zysku, ale ten ostatni zysk jest pewny i namacalny, w razie gdy się tańszy towar kupuje, podczas gdy tamten jest wątpliwy. Postęp wymaga nakładów, które umiejętnie poczynione opłacają się, ale umiejętność tę nie tak łatwo i nie tak prędko da się osiągnąć; prócz tego włościanie niebardzo w nią wierzą. Oczywiście, że spółka winna szczególnie dbać o rozwój tej umiejętności, ale to jeszcze nie może stanowić widocznych i namacalnych przedmiotów jej działania, jest prędzej ubocznym, jakkolwiek najważniejszym jej wpływem.

Konieczną przeto jest rzeczą zastosowac się do tego, co się staje najogólniejszem tłem dla zrzeszeń włościańskich i objąć w spółkach zakres handlu i pośrednictwa. Inaczej stracą one samorodną podstawę, staną się rzeczą doktryny narzuconej, a nie prądu z dołu płynącego. Gdy się temu prądowi zadość uczyni, wtenczas dopiero można będzie w spółkach takie wprowadzać czynności, które donioślejszego od samego pośrednictwa nabędą znaczenia.

W tem właśnie leży cała trudność, bo z drugiej strony nie brak odstraszających przykładów nieudanych sklepów kooperacyjnych. Otóż, w tym zakresie spółki włościańskie nie potrzebują bynajmniej iść śladem towarzystw spożywczych, a prędzej syndykatów rolnych. Syndykaty rolnicze dostarczają swoim członkom nietylko przedmiotów gospodarskich, ale np. i węgla, który przecież po części jest towarem konsumcyi domowej. Należy iść dalej: sprowadzać dla włościan sól, mydło itp., wszystkie wogóle towary, byle tylko nie detalicznie nie sprzedawać, a sprowadziwszy na zamówienie, natychmiastowo między członków dzielić. Jest to właściwie utrudnieniem dla członków spółki, ale koniecznem dlatego, by uniknąć kosztów, jakimi towar każdy zostaje obciążony, gdy rozpakowany znajduje się na składzie czas dłuższy i gdy podlega detalicznemu podziałowi i sprzedaży.

Powstaje tu pytanie: skąd brać towar. Oczywiście od hurtowników, i występują nowe trudności: dokonania wyboru i zamówienia towarów, po co trzeba się udać do większego miasta, przeważnie do Warszawy. Dobrze by było, gdyby Towarzystwa i Syndykaty rolnicze (z większych właścicieli złożone) miały wszystkie te towary, które są włościanom potrzebne; niestety, nie wszystkie syndykaty nasze uwzględniają zapotrzebowania klienteli włościańskiej. Żelaza, nasion itp. gotowe są one spółkom włościańskim dostarczać, ale już o naczyniach kuchennych, a tem bardziej towarach spożywczych słyszeć nie chcą. Tu się przedstawia pole dla otworzenia oddzielnego konsorcyum handlowego, które by służyło za organ regulujący obstalunki i zamówienia spółek włościańskich. Niezbędne jest znawstwo towarów, pewne poręczenie za ich dobroć, bez czego oddzielne spółki nie mogłyby wytrzymywać konkurencyi z prywatnemi sklepami i składami. Jedna oddzielna agentura handlowa, wyspecyalizowana w kierunku przedmiotów potrzebnych dla włościan, może im oddać te największe usługi, jakich oni pragną.

Przyjechanie do Warszawy lub innego większego miasta po towar, to wielki trud i koszt, przy którym jeszcze nie racya, by przyjeżdżający znalazł najlepszy i najtańszy towar. Nie można obarczać temi czynnościami oddzielnych spółek. W braku specyalnej agentury handlowej, w braku odpowiednio zastosowanej filii Towarzystwa lub syndykatu rolniczego, służyć mogą w tym razie spółkom włościańskim ich związki powiatowe. Możliwe są one jednak dopiero wtedy, gdy w powiecie jest już spółek większa ilość, tak by koszt prowadzenia związku mógł być pokryty.

O ile stanie się zadość potrzebom włościan w zakresie pośrednictwa spożycia, zarówno domowego jak i gospodarskiego, winny spółki myśleć również i o pośrednictwie zbytu. I tu jednak jak i w zakresie dostarczania towarów należy ściśle przestrzegać reguły, by nie czynić operacyj detalicznych. Jak sprzedaż detaliczna tak i kupno jest niebezpiecznem; nic łatwiejszego, jak kupić worek, w którym na dnie jest poślad, a z wierzchu czyste ziarno, a wysypywanie każdego worka, wobec tego że trudno mieszać zboże różnorodne, jest zawsze wielce uciążliwe. Jak przy dostarczaniu towarów tak i przy zbyciu spółki winny się ograniczyć do roli pośrednika, a nie robić operacyj kupna—sprzedaży na własny rachunek.

(D. n.).

Wł. Grabski.

NA MARGINESIE.

Pani czy panna. W dawnej Francyi, jak czytamy w ostatniej *La Revue* z 15 grudnia, do tytułu *Madame — pani* miała prawo tylko ta kobieta, której mąż był rycerzem i nosił tytuł *Monseigneur*, w przeciwnym razie, choćby była księżniczką, mówiono do niej *mademoiselle — panna*. Żony ludzi nieszlacheckiego pochodzenia stale nazywano *pannami*. Montaigne np. adresował list do swej żony: „A Mademoiselle de Montaigne, ma femme“ (do panny Montaigne, mojej żony). Racine pisał do siostry: „A Madame Marie Racine,“ po jej zamążpójściu zaś: „A Mademoiselle Marie Riviere.“

Rewolucya zrównała cokolwiek te stosunki, przyznając wszystkim kobietom zamężnym, od królowej do żony stróża, tytuł *Madame—pani*, a ich córkom niezamężnym: *mademoiselle — panna*. Trzeba jednak przypuszczać, że proces przemiany na tem się nie zatrzyma, że zwyczaj dzielenia kobiet na dwie kategorye *pań* i *panien* — osoby ze stanowiskiem i znaczeniem społecznem i istoty bez stanowiska, bez znaczenia — z czasem upadnie, jako przeżytek śmieszny i bezsensowny. Bo zastanówmy się tylko: przez męża zdobywa kobieta prawo do wyższego stanowiska społecznego, do jakichś form większego szacunku, choćby tylko zewnętrznych, których jej nikt nie ośmieli się odmówić nawet gdyby do końca życia pozostała istotą ograniczoną i najzupełniej bierną; kobiecie zaś, która mężatką nie była, całe życie trudu, nie byle jakiego nierzadko, pracy samodzielnej i niezmiernie użytecznej nie da tej powagi, jakiej używa tamta. Będą ją zawsze z pewnem lekceważeniem nazywać *panną*, a w stosunkach towarzyskich każda gąska zamężna będzie miała przed nią pierwszeństwo, uważając, że ma prawo oczekiwać od *panny*, choćby dwa razy od niej starszej a nawet siwowłosej, wszelkich dla siebie ustępstw i względów. Czas już jednak, by wszystkie kobiety zaprotestowały przeciw temu barbarzyństwu i zażądały zrównania tytułów i stanowisk bez względu na stan zamężny lub niezamężny każdej z nich. Tytuł *panny* pozostawmy podlotkom na szkolnej ławie — jak słusznie twierdziła Harriet Martineau, protestując przeciw zwyczajowi czynienia różnic — a do wszystkich bez wyjątku kobiet dorosłych, a nadewszystko starszych, mówmy i piszmy *pani*, jak proponują i jak już czynią niektórzy.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. W listopadzie roku zeszłego zanotowano w policyi warszawskiej 38 rozpraw nożowych, których następstwem w 10 wypadkach była [illegible]

— Zgromadzenie gubernialne ziemskie w Niższym Nowogrodzie postanowiło starać się o rozszerzenie katalogu książek i wydawnictw peryodycznych dla czytelni ludowych, oraz o uwolnienie osób, które ukończyły szkołę ludową, od kary cielesnej.

— *Warsz. Dn.* donosi, że Towarzystwo rosyjskie żeglugi usiłowało skierować ruch wychodźczy do Ameryki na Odessę i poleciło agenturze warszawskiej zająć się rozwiązaniem pytania, w jaki sposób dałoby się odciągnąć wychodźców z kraju tutejszego i z gub. południowo-zachodnich od korzystania z usług kompanij niemieckich. Urzeczywistnienie projektu okazało się niemożliwem. Wychodźcy emigrują zwykle bez paszportów. Niemieckie Towarzystwa żeglugi chętnie przyjmują takich pasażerów, lecz Tow. rosyjskie robić tego nie może; dopóki więc nie zostaną wprowadzone ułatwienia w wydawaniu paszportów emigracyjnych współzawodniczyć z kompaniami niemieckiemi niepodobna.

— Gazety odeskie donoszą, że jeden z działaczów palestyńskich wywiózł do Jaffy sieroty po Żydach ki- [illegible] założona tam została szkoła rolnicza, na którą drogą składek zebrano 200,000 franków.

— Izba sądowa odeska, rozpoznawszy przy drzwiach zamkniętych sprawę obwinionych o rozruchy antiżydowskie w Kiszyniowie, w czasie świąt wielkanocnych, ogłosiła wyrok, skazując Greczin i Morozinka, obwinionych, prócz tego, o zabójstwo, na ciężkie roboty na lat 7 i 5, 22 podsądnych na zesłanie do rot aresztanckich od 1 do 2 lat, jednego na 6 miesięcy więzienia, 12 uniewinniono. Wszystkie pretensye cywilne w liczbie 48 odrzucono, koszta sądowe włożono na obwinionych.

— *Gaz. Finl.* donosi, że general-gubernatorowi finlandzkiemu nadano prawo niezwłocznego usuwania od pełnienia obowiązków urzędników do klas V-ej włącznie.

— Rząd niemiecki wydał rozporządzenie, ażeby w szkołach alzackich w Malmedy i Montjoie zniesiono naukę języka francuskiego.

— Towarzystwo hakatystów postanowiło rozszerzyć swą działalność na Prusy Wschodnie w celu tłumienia w tej dzielnicy ruchu polskiego. Hakatyści liczą 4,545 członków w Poznańskiem, 6,023 w Prusach Zachodnich, 794 w Prusach Wschodnich i 5,110 na Śląsku.

— Sąd wojskowy w Renesburgu, w Niemczech, skazał podoficera Franzkę, za znęcanie się nad żołnierzami w 1,520 przypadkach, na pięć lat więzienia i degradacyę.

— W Brandeburgii wydano nakaz, ażeby urzędnicy stanu cywilnego zapisywali prawidłowo żeńskie nazwiska polskie z końcówką „ka."

— Ziemianie łęczyccy rozpoczęli starania o oddanie zamkniętego składu monopolowego w Łęczycy na niższą szkołę rolniczą.

— Według austryackiego wykazu urzędowego, w pierwszych dziesięciu miesiącach roku zeszłego wychodźcy do Ameryki nadesłali drogą pocztową z za oceanu do Austryi 12 mil. koron, a najmniej dwa razy tyle za pośrednictwem banków; większa część tych sum wpłynęła do Galicyi. Ażeby zabezpieczyć wychodźców od wyzyskiwania przez banki, rząd austryacki zawarł z „American Express Company" umowę, obowiązującą od d. 1 stycznia 1904 r., na mocy której kompania przyjmuje przekazy po stałym kursie 20 centów amerykańskich za koronę.

— W Metzu skazano porucznika Schillinga na półtora roku więzienia za znęcanie się nad żołnierzami w 698 przypadkach oraz branie okupu od pragnących uniknąć prześladowania.

— Według ostatnich danych centralnego komitetu statystycznego, ludność większych miast w państwie rosyjskiem wyraża się w liczbach następujących: Petersburg 1,534,000 mieszkańców, Moskwa 1,173,000, Warszawa 756,000, Odesa 449,000, Łódź 351,000, Kijów 319,000, Ryga 256,000, Charków 197,000, Baku 179,000, Wilno 162,000, Tyflis 160,000, Taszkent 156,000, Kazań 143,000, Ekaterynosław 135,000, Kiszyniów 125,000, Astrachań 121,000, Rostów nad Donem 120,000 i Tuła 109,000 mieszkańców.

— Gordon Mac Kay polecił w testamencie wypłacić uniwersytetowi Harvarda w Cambridge 200,000 funt. szt., następnie 80% od ogólnego dochodu z puścizny, a po śmierci ostatniego spadkobiercy — cały majątek, od którego odsetki iść mają na popieranie nauk stosowanych.

Szkoły i wychowanie. Nauczycielkom domowym, po zdaniu wymaganego egzaminu, pozwolono zajmować posady nauczycielek szkół początkowych.

— *Kijew. Słowo* donosi, że do Petersburga udawała się deputacya studentów politechniki kijowskiej w celu wyjednania u p. ministra skarbu pozwolenia na wznowienie wykładów. P. minister skarbu przyjął deputacyę, oświadczył jej jednak, że politechnika kijowska przez pewien czas musi pozostać zamknięta.

— Opłatę szkolną podwyższono w progimnazyum męzkiem w Pułtusku z 40 do 50 rb. i w gimnazyum radomskiem do 60 rb. rocznie.

— Współzawodnicząc z innemi miastami w kraju południowo-zachodnim o posiadanie uniwersytetu rada miejska Witebska oprócz ofiarowanych 44 dziesięcin gruntu, wyznaczyła na ten cel 600,000 rb. Radni miejscy ofiarują pod budowę gmachu uniwersytetu: Kronberg 20, Kossew 10 i Szczyt 10 dziesięcin, oszacowanych na 480,000 rb. Tym sposobem Witebsk wyznacza na uniwersytet przeszło milion rubli. Otwarto również zbieranie ofiar dobrowolnych pośród obywa-[illegible]

— Wydział naukowy ministeryum skarbu ogłasza, że egzaminy piśmienne i ustne w komisyi egzaminacyjnej przy tym oddziale na prawo wykładania przedmiotów specyalnych w handlowych zakładach naukowych będą się odbywały w szkole Piotrowskiej petersburskiego Tow. kupieckiego (Petersburg, Fontanka nr. 62) od d. 2 do 4 stycznia r. p. Osoby, które złożyły odpowiednie podania, mają się stawić d. 2-go stycznia r. p. o godz. 7 wieczorem.

— Powstał projekt otworzenia wyższych kursów żeńskich w uniwersytecie jurjewskim.

Literatura i prasa. Dziennikowi *Nowosti* zabroniono sprzedaży pojedynczych egzemplarzy.

— Komitet norweski dla nagród Nobla wyznaczył gazecie paryskiej *L'Européen* 10,000 koron.

— W końcu roku ubiegłego wychodziło w Królestwie Polskiem 98 czasopism — 84 w Warszawie, 14 na prowincyi.

— Z rozporządzenia ministra spraw wewnętrznych zawieszono na 8 miesięcy wydawnictwo dziennika łotyskiego p. t. *Deenas Lappa*.

Zdrowie publiczne: Na konkursie, ogłoszonym przez Tow. hygieniczne na szpitalik wiejski, pierwszą nagrodę przyznano projektowi p. W. Kononowicza, drugą — p. Z. Lewińskiemu, nadto wyróżniono dwa inne z pośród 48.

— W Korbeli (około Bagdadu) epidemia cholery szerzy się i zabiera kilkadziesiąt ofiar dziennie.

Katastrofy. W pobliżu Hawai, na grupie wysp Alaitian, nastąpił groźny wybuch wulkaniczny, a jednocześnie fala morska, podniesiona do wysokości 30 stóp, zalała miejscowość Oahu na wyspie tejże na-[illegible]

— W Pensylwanii, w pobliżu stacyi Connelsville, rozbił się pociąg pospieszny na stosie drzewa, położonego na szynach — 35 podróżnych zabitych, wielu ra-[illegible]

Zmarli. Andrzej Czernik, artysta-malarz w War-[illegible]

— Albert Schaeffle, ekonomista, w Stuttgardzie.

— Giuseppe Zanardelli, były prezes ministrów włoskich.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu Zwierzyńskiemu w Jackiewiczach. Dwa cząstkowe zeszyty „Filozofii pieniądza" można nabyć w każdej chwili; zeszyt kosztuje 40 kop.

Panu Wyleżyńskiemu z Szargorodu. Adres gazety: Hoża nr. 50, prenumerata 8 rb. rocznie.

Panu Wł. Juw. Sonety nie dla nas.

Redaktor i Wydawca **A. Dembowski.**

Дозволено Цензурою, Варшава 17 Декабря 1903 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.